







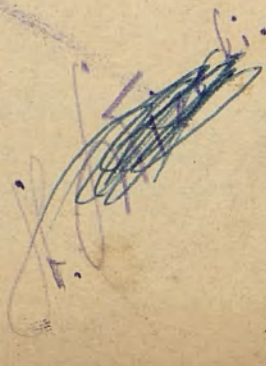


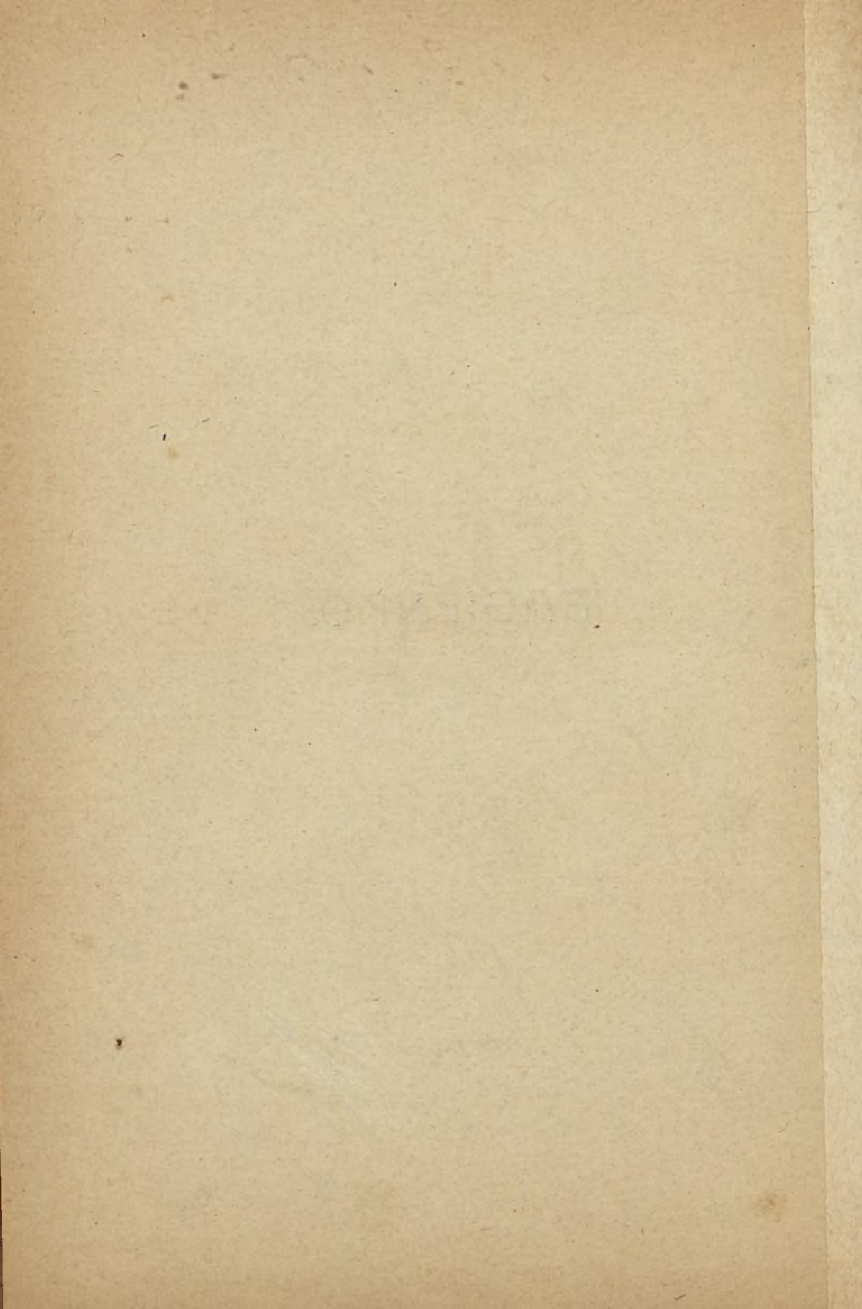




No 142.

BAGIENKO.

Bagienko  
8.21.914  




Bolesław Gorczyński.

---

# BAGIENKO

KOMEDYA w trzech odsłonach



WARSZAWA

Nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów

Skład główny w księgarni E. WENDE i S-ka.

1907.



441087

T

k-82/4957  
16.6. 180,-

## OSOBY:

---

KAROL PRZYSTAŃSKI.

STEFAN PRZYSTAŃSKI.

JERZY WIELOHRADZKI.

BOHDAN DZIERŻYKRAJ.

BOLESŁAW BARSKI.

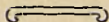
} STUDENCI.

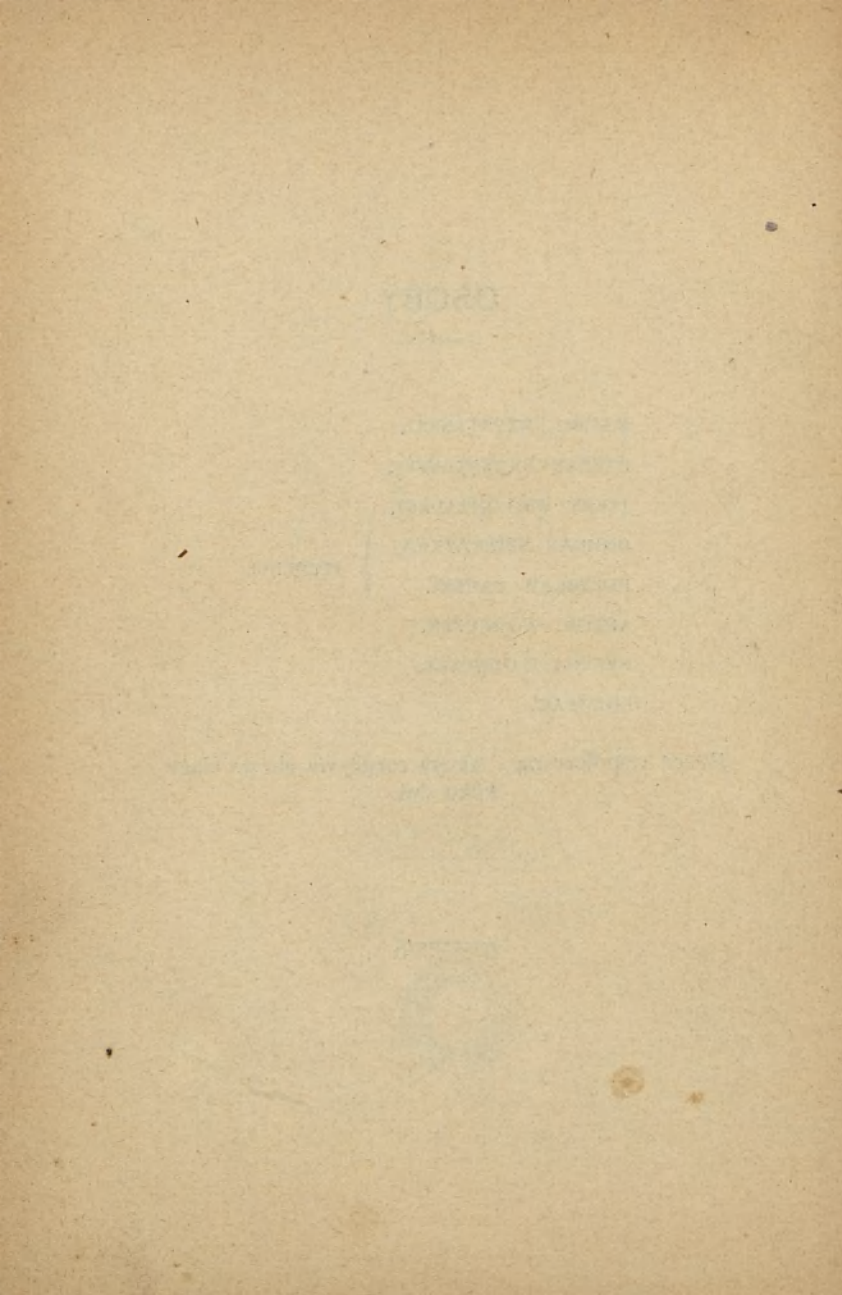
ANTONI WOJNICZEK.

HELENA WOJNICZEK.

CHŁOPAK.

Rzecz współczesna. Akcja rozgrywa się w ciągu  
kilku dni.





## Osoby działające.

---

PRZYSTAŃSKI stryj. Lat 50. Wytworny, słusznego wzrostu, sympatycznej powierzchowności. Oczy przygaśle o inteligentnem wejrzeniu; usta zmysłowe: uczesanie pretensjonalne. Zlekka utyka na jedną nogę: czyni to z pewnym wdziękiem. Mówi żywo, nerwowo. Używa przysłów: „na honor“ i „voilà.“

PRZYSTAŃSKI STEFAN, synowiec. Lat 21. Podobny do stryja z ruchów, sposobu mówienia i oczów. Zapaleniec, łatwo poddający się wrażeniom; zaczepny i szorstki, w gruncie rzeczy tylko... nerwowy. Humor nieszczerzy, raczej kostyczny, niż zdrowy.

JERZY WIELOHRADZKI, przyjaciel stryja. Lat 34—37. Dystyngowany panek, o ironicznym wyrazie interesujących oczów i przyjemnej powierzchowności.

BOGDAN DZIERŻYKRAJ i Bolesław Barski, kole-dzy synowca. Bogdan, istny atleta, przepysznej budowy, o rumianej, jędrnej twarzy junaka. Mówi szorstko, niemal brutalnie. W głosie czuć siłę, energię i zdrowie. Przeciaga trochę w mowie z ukraińska i... spluwa od czasu do czasu, mówiąc „czort.“ Używa wielu wyrażań małosyjskich czy rosyjskich—rzecz zwykła u naszych „kresowców“ a więc: „pohany“ (wstrętny, plugawy), „taki“ (więc), „da“ (przecież) i t. p.

BOLESŁAW BARSKI, żywy kontrast Bogdana: policzki zapadnięte, oczy mętne, głos miękki, chudy, źle zbu-



dowany. Hołduje modzie „dekadenckiej,” a więc: trupie czaszki na pierścionku, w szpilkach, przy zegarku, czarne krawaty etc. Mówi dużo, żywo i potoczyscie, z wesołą nieszkodliwą ironią, która u niego przestała już być pozą. Gdy tak prawi, robi wrażenie, jakby tworzył zdania na efekt literacki. W gruncie rzeczy chłop dobry i uczciwy.

WOJNICZEK, eks-muzyk. Lat 54. Siwa, artystycznie rozrzucona czupryna, pretensjonalnie wypomadowane wąsy, hiszpanka, ubranie mocno zdezelowane, „z dobrego niegdyś materyału” także obuwie, cylinder archeologiczny, spodnie „w kratki” — oto jego zewnętrzny rysopis. O stanie wewnętrznym starego eks-muzyka świadczy nos tęczo- wy i kroki dość chwiejne. Pewna melancholia w zapitych oczach mówi coś niecoś o lepszej przeszłości. Wyraźniej przemawiają za tem ironijka i dowcip, ujawniające się w oryginalnym „muzycznym” stylu wyrażen eks-muzyka, w rodzaju: „mistrzuniu,” „gitara,” „smyczki,” „koncercik,” „melodya,” „symfonia” etc.

HELENA, jego córka. Lat 25. Twarz piękna, zniszczona. W żywych, ognistych oczach — tęsknota do czegoś lepszego, idealniejszego. Wrodzona namiętność przysłania niestety tę melancholię, i niszczy w zarodku zrywające się zapaly. Stąd rozterka... smutek dźwięczy w jej głosie, w zwrotach szorstkich zarówno, jak i miękkich.

CHŁOPAK od stróża, lat 15.

## AKT I-y.

---

*Popołudnie dnia wiosennego, pełne słońce w oknach i na górze. Helena przybrana w rzymską białą tunikę, upina włosy przed lustrem. Wojniczek ze skrzypcami pod pachą i cylindrem w ręku stoi przy drzwiach. Snać dopiero co wszedł.*

WOJNICZEK.

Do dyabła z taką symfonią! Po co ty łazisz do niego? Kochasz go?

HELENA.

Dosyć już miałam w życiu „kochania.“ Ojciec to wie. Nie jestem spragniona.

WOJNICZEK.

A czegoż ci się znów zachciało?

HELENA.

Niechże mnie ojciec nie męczy temi pytaniami. Po co ojciec tu przyszedł za mną?

WOJNICZEK (pokazuje jak się liczy pieniądze).

Po te... Daj mi „smyczków“ to cię przestaną męczyć...

HELENA.

Nie mam pieniędzy. On także nie ma.

WOJNICZEK (zły)

„Nie mam pieniędzy, nie mam pieniędzy!“— ciągle ta sama melodia. Ja ci powiadam, Helena, że to bardzo głupia melodia. Jak kto upadł, to niech ma przynajmniej „smyczki,“ to będzie harmonia; ale nieuczciwy i goły, to dysonans. Rozumiesz, mistrzuniu? To już lepiej być uczciwym.

HELENA (wzdryga się).

Każde odezwanie się ojca, to aż cuchnie... brrrr!..

WOJNICZEK.

Dopóki nie poznałaś tego młodzika, to jakoś znosiłaś moje odzywania się, a teraz...

HELENA.

Przebrała się miara. Ja chcę trochę odpocząć od tego wstrętnego życia, jakie prowadziłam dotąd, odetchnąć od ciągłego sprzedawania się, zapomnieć, że jestem towarem do nabycia dla jakiegoś tam jednego i drugiego panka! Rozumie mnie ojciec?

WOJNICZEK.

Twoje całe gadanie, to takie tam sobie fałszywe brzdąkanie na gitarze. Ja ci zaśpiewam prawdziwą melodyę: tobie się chłopak podobał.

HELENA.

Ma się rozumieć, że mi się podobał. Pierwszy mężczyzna, który mnie traktuje, jako człowieka, który mnie szanuje, który mi nie płaci...

WOJNICZEK (z ironią).

To też to.

HELENA.

Pomaga mi utrzymywać się, ale mnie nie utrzymuje; uczy pracować, kształci mnie—nie wyzyskuje. I ojciec go za to szanować powinien. On ojcu chce podać rękę, ale ojciec jej przyjąć nie chce, bo w tej ręce nie ma złota...

WOJNICZEK.

Żeby chociaż srebro było, mistrzuniu...

HELENA.

Stręczy ojcu lekcye, a ojciec nie chce...

WOJNICZEK.

Ja nie chcę? Fałszujesz: mnie nie chcą, mistrzuniu!..



HELENA.

Bo nie można po pijanemu przychodzić na lekcję.

WOJNICZEK.

Tra ta ta... tra ta ta... łatwo ci to wszystko brzdąkać... Założyć nową strunę, bagatela, ale ją nastroić—trochę trudniej... Trzeba ostrożnie i powoli, bo pęknie... Weź się teraz sama do pracy i wyżyj. Co, mistrzuniu?.. Zapracujesz od razu na utrzymanie, he?...

HELENA (spuszcza nieco z tonu).

Przecież my ojcu nie odmawiamy. Wczoraj brał ojciec od Stefana...

WOJNICZEK.

Smyczka... (*pogardliwie*) Jednego smyczka...  
Ogromna mi melodia?!...

HELENA.

Cicho!.. już wraca... (*za ścianą wesoły śmiech i stąpanie*).

STEFAN (wpada do pokoju).

Kolosalny pomysł—ha, ha, ha — bajeczny!...  
Uważasz, Hela, Bolek wsiadł na Bohdana, jak na konia, i objechał dwa razy podwórko—ha, ha, ha!—  
na środku miał przemowę do zgromadzonego ludu (*w drzwiach istotnie staje Bohdan, na nim siedzi Bolesław*).

BOLESŁAW.

Ludzie, kobiety i dzieci! Sensacya. Przyjazd znakomitego znawcy dusz ludzkich, estety, cynika i literata Bolesława Barskiego na ośle... pardon, na... wielbłądzie, świeżo sprowadzonym. Potwór ten jest tak wielki, że gdyby miał tyle rozumu, ile waży, byłby niemal tak mądry, jak ja; z drugiej stony jest tak głupi, że gdyby ważył tyle, ile ma rozumu, zmieściłby się z łatwością w lebkę od szpilki. Dzięki tym hojnym darom natury, posiada on wszelkie właściwości prawego człowieka, albowiem: nie kłamie, nie flirtuje, nie całuje cudzych żon, a o zaciąganiu długów zgoła nie ma pojęcia. Jest wszakże nadzieja, że skoro poobcuje trochę pomiędzy ludźmi, stanie się zwierzęciem.

BOHDAN (zrzuca Bolesława).

Złaz!

BOLESŁAW.

Łagodnie, łagodnie!

HELENA.

Ciężki, panie Bohdanie?

BOLESŁAW (zeszedł, pochyla głowę)

Memento mori.

BOHDAN (do Heleny).

Co tu ma ważyć, pani? Łachmanek podarty..

BOLESŁAW.

No, no, wielbłądzie (*Stefan śmieje się*).

HELENA.

Żałuję, że nie widziałam waszego pochodu przez podwórko.

STEFAN.

Wrażenie było niezwykle. Nastrój uroczysty.

BOLESŁAW (*zadowolony z pomysłu, wpada w ferwor*).

Ba!... Gdyśmy przeszli raz dookoła, okrzyków „ojeja“ rozległo się ośm dziesiątków. Po przemówieniu ujrzelśmy 30 chłopaków, konających ze śmiechu, bab oniemiałych 52, wzdychających głęboko piersi męzkich 120, kobiecych par 228, i tym podobnych wzruszeń bez liku!

HELENA.

Będą o tem gadali conajmniej przez trzy dni.

BOLESŁAW.

Co to jest trzy dni, proszę pani? Legendy o nas tworzyć będą... kilka lat przeżyjemy w pamięci zacnych mieszkańców tego domu. Trzeba nam będzie, Bohdziu, iść do fotografii. Tak, proszę pani. Oto, jakimi drogami dąży się dziś... do nieśmiertelności!

WOJNICZEK (*ironicznie*).

Nie tak to illo tempore bywało!...

BOLESŁAW (odcina się).

Piło się własny miodek przy obiedzie. Co?

WOJNICZEK.

Dziś żeby choć na własną wódkę starczyło...  
(*Helena i Stefan na te słowa pochmurnieją. Bolesław śmieje się.*)

STEFAN.

No, Bohdziu, teraz do nowej roli. Przebie-  
raj się!

BOHDAN.

Dobra.

STEFAN.

Chodźmy. (*Idą do pokoju na lewo. Bolesław podąża za nimi.*)

HELENA (po chwili do Wojniczka).

Że też się ojciec zawsze musi wyrwać  
z czem przyjemnem.

WOJNICZEK.

Nic nowego.

HELENA.

Tak... wiecznie tylko wódka i wódka!...

WOJNICZEK.

Daj mi na szampana! (*śmieje się.*)



HELENA.

Wstrętne takie... brrrr! Chwili wytchnienia mieć nie można. Brud, cynizm, pijaństwo—wszystko to już tak przyrosło do ojca, że nawet na chwilę nie chce wyjść z tego zakłętego koła...

WOJNICZEK (krzyczy).

Do dyabła z taką symfonią! Co mi tam będziesz morały prawić?!

HELENA (prosząco).

Cicho...

WOJNICZEK (nie słucha).

Zacznij od siebie, jeśli łaska! Nie chcesz dać, to nie. Obejdzie się wesele bez katarynki. Ja sobie dam radę.

STEFAN (staje we drzwiach).

Co się stało?

HELENA (zmięszana).

Nic...

STEFAN.

Panie Wojniczek?

WOJNICZEK.

Tak mnie kiedyś zwano. Ale teraz zwa mnie poprostu „ty stary klawicymbale!”

STEFAN.

Co to jest Hela? Może panu co potrzeba?

HELENA.

Nie, nie.

WOJNICZEK.

Nic, panie Stefanie, nic. Kto wchodzi na uczciwą“ drogę—co mu po pieniądzach? (*śmieje się*).

STEFAN (sięga do kieszeni).

Jeżeli pan jest w potrzebie...

HELENA (chwytając go za rękę).

Stefan, nie dawaj!

WOJNICZEK.

Dziękuję pokornie, mistrzuniu. Powiedziano jest w starych księgach: nie obdzieraj biedaków... Ja mam stosunki... Zapytaj się pan Heli... hrabiowskie... Mój garniturek nie jest à la mode, ale oni lubią oryginalność. (*Wychodzi. Chwila ciężkiego milczenia*).

STEFAN.

Aaa!.. To tak ciągle... ciągle! Od miesiąca, od czasu, jak się znamy, ciągle takie policzkowanie!.. Za to, że ja nie jestem tak bogaty, jak.. jak ci... ci...

HELENA.

Dziwię ci się, Stefan, że się tem tak przejmujesz. Ja już się przyzwyczałam do tego...

STEFAN.

Ja się nie mogę do tego przyzwycząć. To jest zanadto bolesne. Do tego się nie można przyzwycząć!

HELENA.

Ojciec plecie trzy po trzy, a ty to bierzesz na seryo.

STEFAN.

Nie, Hela, nie. W tem, co ojciec mówi, jest za dużo prawdy.

HELENA.

Prawdy?

STEFAN.

Tak. On nie mówi otwarcie tego, co myśli ale ja to rozumiem. Jego niepokoi ten znak zapytania, wiszący nad naszym stosunkiem. Ironia słów jego jest upartem pytaniem, zwróconem do mnie. On się pyta i żąda odpowiedzi. A ma przecież prawo. Najoczywistsze, niezaprzeczone prawo ojca...

HELENA (trochę pobita słowami Stefana).

Mój kochany, zasady mojego ojca są dziś na zupełnie fałszywej drodze. Jego logika jest wstrętna.

STEFAN.

Jakakolwiek jest, powinna nas obudzić z rozkosznej drzemki. Tak być dłużej nie może. Stanowczo—nie może! (*Wchodzi z sąsiedniego pokoju Bohdan w rzymskim przebraniu, za nim Bolesław*).

HELENA (stara się zatrzeć sprzeczkę).

Stefa! Artystą chcesz być, a takiś zimny i urzędowy.

STEFAN.

Nie, Hela, nie. Ja nie jestem urzędowy, ja tylko... nie chcę żyć... tak... po dekadencku...

BOLESŁAW.

A cóż to niby dekadenci, to łotry, rozpruwacze brzuchów?

STEFAN.

Nie. Ale ich nic nie obchodzi społeczeństwo, ani druga osoba. Byle tylko dla siebie. Używać życia pomimo wszystko. To ich dążenie. A ja nie chcę iść tym szlakiem.

BOLESŁAW.

Słowa, panie, słowa, słowa. Homo habet sum ins ad omnia, quae potest, czyli inaczej mówiąc: nieszczęśliwy ten, kto nie może.

BOHDAN.

Taki możesz mi wyjąć rubla z kieszeni i włożyć do swojej i to będzie etyczne, co?



BOLESŁAW.

Mój kochany, jeżeli cię język świerzbi, to go podrap, a nie odzywaj się, bo widzisz gimnastyka i dowcip, to dwie odmienne sztuki.

BOHDAN.

Musi pan harbuza dostałeś na ulicy od jakiejś niewiasty, kiedy pan tak kłujesz.

BOLESŁAW.

Ostrożnie, panie, bo pan pęknie z wysiłku. Ostrzegam pana.

HELENA (sili się na wesołość).

No, no, dosyć tego! Nie klócić się! A ty stary dzieciaku, chodź tutaj, to cię pocałuję. No! Stefa! Choć tutaj! (*kapryśnie*) Hela chce tego — rozumiesz?

BOLESŁAW.

Ja go zastąpię.

HELENA.

Nie chcę pana, chcę Stefy.

BOLESŁAW.

Kiedy to mazgaj — upewniam panią. Pani zrobi daleko lepszy interes, jeżeli pani mnie pocałuje. Stefan się podrapie, a ja mu potem opowiem, jak to smakowało.

HELENA.

Nigdybym pana nie pocałowała.

BOLESŁAW.

Dlaczego?

HELENA.

Nie lubię takich cyników, jak pan!...

BOLESŁAW.

Każda kobieta mówi to samo.

HELENA.

Fe! Zarozumialec z pana. Nie bawię się, niech pan sobie idzie na inne podwórko! Stefa! pocałuj Hele! Będzie się gniewać.

STEFAN (całuje ją konwencyonalnie).

Ty wszystko zawsze w żart obracasz. Jakbyś nie wiedziała, że życie ma dwie strony.

HELENA.

Co mi tam! Pocałuj! Pocałuj!

BOLESŁAW.

E... moi państwo... ja bardzo „lubię,” kiedy kobieta omdlewa w „objęciu” mojem, ale takie patrzenie na cudzą przyjemność, wcale mi dobrze na zdrowie nie robi. Żegnam więc.

STEFAN (już rozechmurzony).

Czekaj, naga duszo. Powiedz no mi, co my-

ślisz o moim obrazie. (*Podnosi zasłonę*). Kurty-  
na w górę. Patrz!

BOLESŁAW.

Słyszałem, że to ma być Winicyusz i Ligia. Nie będę się z tobą kłócił o wybór tematu. Hm, Ligia, jak Ligia—ładna, bardzo nawet ładna, podobna oczywiście do pani—tylko ten Bohdańcio, jako Winicyusz... (*patrzy na Bohdana*) jest srodze ukraiński. Zresztą płótno jest w bardzo dobrym gatunku, i jak je mocno polakierujesz, będzie się zabójczo filistrom podobało.

HELENA.

Nie słuchaj go, Stefa—co powie, to skłamię.

BOLESŁAW.

Przewrotności! imię twoje: kobieta. Iżes zawsze dwojakię pokazywała oblicze, wypędzonaś z miejsca szczęśliwości, i pełzasz po świecie, jako on wąż zdradliwy.

STEFAN (*kończy*).

...jabłkiem niezdrowem częstując? Tak? Słyszałem to już milion razy. Ale, powiedz ty mi, Bolek, dla odmiany poważnie: co ty myślisz o tym obrazie?

BOLESŁAW.

Hm? Myślę, że jest on świetniejszy od obrazków, noszonych przez handlarzy po ulicach, bardziej interesujący, niż te, które ozdabiają salony

do fryzowania włosów, ale w porównaniu z obrazami Podkowińskiego lub Ruszczyca, jest zaledwie błyszczącą nędzą.

STEFAN.

Kiedy z tobą nie można gadać po ludzku. Ja cię nie proszę o zaszczytne porównania; chcę, żebyś mi powiedział, jakie ten obraz robi na tobie wrażenie?

BOLESŁAW.

Tsiese... Ostatecznie... owszem...

STEFAN.

Bez „owszem.“ Reszty nie biorę. Żądam od ciebie szczerzej monety.

BOLESŁAW.

A więc powiem ci: wrażenie żadne.

STEFAN (zły)

No, dobrze. Dziękuję ci. Krótko przynajmniej i węzłowato.

BOLESŁAW.

Pardon, mój drogi, nie skończyłem. Powiedziałem żadne, w tem znaczeniu, że obraz twój, jak dla mnie, nie ma tego... tego... symbolicznego nastroju... który...

STEFAN.

O, teraz ja cię przeproszę. Jeżeli ty chcesz



utrzymywać, że obraz, przedstawiający Winicyusza i Ligię, nie ma symbolicznego nastroju, to albo gadasz, aby gadać, albo nie czytałeś „Quo vadis.“ W takim razie wybacź, żem się zwracał do ciebie.

BOLESŁAW.

O, już filister warszawski wyłazi z ciebie. „Szanowny pan nie czytał Sienkiewicza, a więc—nie bawię się z panem.“ Ha, ha, ha! Wielka zbrodnia: nie czytać Sienkiewicza?!

STEFAN.

W tej materji nie ma z tobą dyskusji. Wszystko, co byś mi na tem miejscu powiedział, znajdę w pierwszym lepszym numerze nieboszczyka „Strumienia.“

BOLESŁAW.

Właściwiej zrobisz, jeżeli zaprenumerujesz „Przyjaciela dzieci.“

HELENA (wesoło).

Panie Bohdanie, niech im pan położy swoje spiżowe dłonie na twarzach, to przestaną dźwięczeć.

BOHDAN.

A zaczną... pisać (śmieje się wraz z Heleną).

BOLESŁAW.

Tsinee... Ja nie pojmuję, co skłania pana do szukania u mnie oceny. Jesteśmy na dwóch bie-

gunach. Ja hołduję jednej modzie, pan drugiej. Ja pana nie przerobię. Kto już zaczął wyrabiać wonne mydelka, temu trudno przedzierzgnąć się w jubilera, albo w fabrykanta cygar hawańskich.

STEFAN.

Gadasz pożyczanemi frazesami. Całe twoje rozumowanie, to właśnie błyszcząca nędza. Ja jeśli istotnie jestem artystycznym nędzarzem, to czy prędzej czy później, dyabli mnie wezmą. Będę miał w zapasie fach! W łeb sobie nie strzelę. Jeśli zaś maluję, to dlatego, że mi z tem dobrze, że mam nieprzeparty pociąg do tego, że wolę to, niż... zaczepianie kobiet na ulicy! Chcę tworzyć. Palę się do sztuki. Przyjmą obraz na wystawę, to go dam... A zresztą ja trochę... wierzę w siebie! Może ja sobie jestem nie wiele obiecujący, ale wierzę, że w tem, co robię, jest jakiś cel, jakiś kawałek duszy, jakaś odrobina idei piękna, do którego chcę dążyć... Ja czuję, że to nie będzie zamalowany metr płótna, ale że na tem płótnie coś żyć będzie, coś mówić! (*aż się zmęczył*).

BOHDAN I HELENA.

Brawo, Stefa!

BOLESŁAW (*zabiera się do odejścia*).

Szczęśliwi, którzy wierzą w siebie, albowiem ich jest królestwo na ziemi! (*podchodzi do Heleny*)  
Mam zaszczyt...

HELENA (niby obrażona).

Nie mam dziś z panem zaszczytu.

BOLESŁAW.

Nic nie szkodzi. Będę miał u pani jedno uściśnienie rączki.

HELENA.

Jestem niewypłacalna...

BOLESŁAW.

Z powodu... upadłości?

STEFAN (bierze go za rękę i uprowadza na bok).

Bolek! Ja cię proszę, bez tych szpilek! Jeśli masz co do niej, to powiedz otwarcie; ironię schowaj sobie do gier towarzyskich.

BOLESŁAW (zmieszany).

Ale cóż znowu?! Znasz mnie przecież i wiesz, że ja ironię traktuję, jako sport. (*pretensjonalnie*) Ale niestety wrosła ona we mnie tak silnie, że stała się niemal mocniejszą odemnie. (*do Bohdana*) Czy piękny Marek ma klucz od atrium?

BOHDAN.

Jest u stróża. Kiedy wrócisz?

BOLESŁAW.

A l'habitude. Nad ranem.

BOHDAN (spluwa).

Na pohybel!

BOLESŁAW.

Co, ząbek cię boli?

BOHDAN.

Tak, ząbek.

BOLESŁAW.

Jakże mi przykro. Podrap się, to może przejdzie, a jak wrócę — nie omieszkam cię obudzić i zapytać o zdrowie.

BOHDAN.

No, na pohybel tobie!

BOLESŁAW (pochyla głowę).

Memento mori (*wychodzi*).

BOHDAN (za nim).

Bestya!.. Włazł w jakąś „zgraję“ knajpiarzy i zgnije. Żywcem zgnije! Jak Boga kocham!

STEFAN.

Nie zgnije, Bohdziu, nie zgnije... Nie każdego, mój drogi, stać na takie bicepsy, jak twoje.. Ty byś je mógł opatentować (*bierze go za rękę*) Jak cię szanuje, jesteś niedościgniony w tem miejscu.

HELENA (patrzac na Bohdana).

Przepysnie pan jesteś zbudowany!

STEFAN (spojrzał na Helenę).

Moi państwo, stańcie no w pozycyi. Ligia



tutaj—tak—pochyl główkę.—Winicyusz tutaj—rób na nią oko — tylko nie perskie... i nie warszawskie... o tak... dobrze (*zaczyna malować*). Ten szelma, Bolek, swoją drogą, nadepnął mi trochę na nerwy. Ironia jest mocniejsza od niego?! Ha, ha, ha.

BOHDAN.

Jaż by tę ironię wypędził z niego, żeby się tylko bestya chciał gimnastykować.

STEFAN.

Ty jesteś szczęśliwy, Bohdan, że nie masz nerwów. Mnie bo dziedzictwo subtelnej rasy przekazało w spadku, ten głupi wynalazek.

BOHDAN.

Gimnastykuj się (*Stefan uśmiecha się*). Jaż ci mówię naprawdę: gimnastykuj się. Wzmocnisz siły i obaczysz, że nerwy dyabli wezmą. Powiadam, że ludziom dziś to jedno tylko pozostaje: gimnastyka! Musim się wrócić do greckich czasów.

STEFAN.

Zapóźno, kwiatku, zapóźno!...

BOHDAN.

Nigdy nie jest zapóźno. I ja do 18 lat był zgniłkiem. Dopóki się nie wziął do gimnastyki. O siódmej rano z pościeli, kubel zimnej wody na głowę i hantel do ręki. Takim, bratku, zdrów,

jak odrobień swoje—a jak nie zrobię, taki choruję. Choruję! Nijako mi, głupstwo się czepia, robić się nie chce. Tak, bratku, siły dobre, to i praca dobra, i zdrowie dobre. I pożytek masz, i zadowolenie masz. Rad pracujesz, rad odpoczywasz, wszystkiemu rad jesteś. Zobaczysz, Stefek, za kilkanaście lat.. zobaczysz... dożyjemy — rzadki młodzieniec nie będzie miał takich bicepsów—zobaczysz—greckie czasy muszą powrócić. *(Helena patrzyła na Bohdana, jak w obraz. Muskęły jej twarzy drgały, pod działaniem silnych, jędrnych słów Bohdana. Machinalnie podeszła ku niemu i nerwowo chwyciła go za muskłęły rąk. Bohdan drgnął).*

HELENA.

Wspaniały!...

STEFAN (poruszony).

Hela!! *(Chwila)* No...

HELENA.

Co?!

STEFAN (łagodnie).

Zepsuliście mi pozę...

HELENA.

Ach! *(do drzwi pukanie).*

STEFAN.

Kto tam?

CHŁOPAK (za drzwiami).

To ja...

STEFAN.

Właż!

CHŁOPAK (wchodzi i spojrzawszy na Bohdana, wybucha śmiechem).

A to... pszpana przysli...

STEFAN.

Kto przyszedł?

CHŁOPAK.

A to... (*śmieje się*).

STEFAN.

Gadaj, potem będziesz się śmiał.

CHŁOPAK.

Dwa panowie przyszli i czekają tam na dole.

STEFAN.

Jacy panowie?

CHŁOPAK.

Starsze panowie. Jeden to mi dał kartkę.

STEFAN.

Dawaj!.. (*bierze kartkę, czyta ją i na twarzy maluje się pewne zmieszanie*).

HELENA.

Kto to?

STEFAN.

To... widzisz... Moi drodzy... wyjdźcie do tamtego pokoju... proszę was... (*rozgląda się po pokoju*) Helu, wyjdź, i ty, Bohdan.—Chłopak, powiedz, że ja proszę... idź! (*Chłopak wybiega*) No, Bohdziu, czemu nie idziesz? Helu! (*Helena wychodzi do pokoju obok*).

BOHDAN (*zażenowany*).

Ta, jakże to? (*pokazuje na pokój*).

STEFAN.

To i cóż?

BOHDAN.

Ja... ot... schowam się za obraz... i...

STEFAN (*niecierpliwie*).

Ale, mój Bohdziu, proszę cię, wyjdź ztąd. Ja muszę sam zostać. Idź (*popycha go niemal. Zamyka za nim drzwi na klucz i idzie do drzwi głównych. Wchodzi Przystański*).

PRZYSTAŃSKI (*zmęczył się schodami*).

Voila... Jak się masz, Stefek?

STEFAN.

Witam stryja dobrodzieja.

PRZYSTAŃSKI (*z miękką dystygowaną surowością*).

„Witam stryja dobrodzieja?.” Cóż to za ton nastrojowy? Dlaczego nie po dawnemu: „jak się



masz, kochany stryjkę?“ Spoważniałeś (*uśmiecha się*).

STEFAN.

Czyż mi nie czas, proszę stryja?

PRYZSTAŃSKI.

Bez kwestyi, bez kwestyi. Czas. Ale ja tu do ciebie w sprawie Apellesa, czy jak się tam twój bożek nazywa. (*rozgląda się*) Słuchaj, Stefek, niema tu u ciebie jakiej pary ładnych nóżek?

STEFAN (*zmarszczył brwi*).

Dlaczego stryj się pyta?

PRYZSTAŃSKI.

Nie stawiaj że zaraz takiego marsa, mój „synowcze dobrodzieju.“ Tak się tylko pytam. Mój przyjaciel—mecenas—„arbiter elegantiarum,“ czeka pode drzwiami... pragnie cię poznać. (Milionowy człowiek, może ci się przydać, a przytem zna się na sztuce). Trzy lata spędził zagranicą. Pozwalasz wprowadzić go tutaj?

STEFAN.

Ależ... owszem... Goście mojego stryja i opiekuna są zarówno moimi gośćmi.

PRYZSTAŃSKI.

Ładnie powiedziane, ale czemu nasz stosunek nie jest naprawdę takim? Voilà... No, ale o tem potem. Mr George entrez!

Eh bien! (*Wchodzi—powitanie*).

WIELOHRADZKI.

Wielohradzki jestem. Wybacz pan szanowny, że trochę dłużej przetrzymałem dłoń jego, ale wy, artyści, macie dziwnej miękkości ręce, do jakiej my, śmiertelni, pomimo obfitego namaszczenia, dojść nie możemy.

STEFAN.

Jestem dyletantem w sztuce, sądzą zatem, że i ręce moje powinny mieć miękkość przeciętnego człowieka.

WIELOHRADZKI.

Skromność wasza dochodzi aż do... zarozumiałości. Ale nie bierz pan tego do siebie. Znając subtelność naturę rodu Przyszańskich, mam zaszczyt być przyjacielem opiekuna pańskiego... nie posądzam pana o to. Skromność pańska pięknie harmonizuje z imieniem, jakie przewidujący rodzice nadali swojemu jedynakowi. „Stefanos“ po grecku „wieniec“ — powinienes pan być zatem uwieńczony.

STEFAN (już podrażniony).

Znajomość języka greckiego, jaka cechuje wykwinny umysł szanownego pana mecenasa, o ile sądzą, obcą była ojcu mojemu, jako technikowi z zawodu... co zaś do matki nieboszczki, to

ta nadto mnie kochała, by mogła marzyć o tak niepraktycznej dla mnie karyerze.

PRYZYSTAŃSKI (gniewnie).

Voilà?!

WIELOHRADZKI.

Ho, ho!... dla takiej odpowiedzi warto być ukaszonym. Z pana zdaje się być szermierz, z którym opłaci się stanąć do walki.

STEFAN.

Nie pozwalam nikomu przypuszczać inaczej.

WIELOHRADZKI (ubawiony).

Po rycersku. „Cher oncle“ składam panu serdeczną gratulację z powodu jego pupila. Wyobrażam sobie, jak wszelkiego rodzaju „animal impudens“ musi lgnąć do niego. Wy, panowie artyści, macie ogromne prerogatywy w tej dziedzinie.

STEFAN.

Nie rozumiem słów pana mecenasa.

WIELOHRADZKI (uśmiecha się wesoło).

Obrazki, wiszące na ścianach, protestują bardzo wymownie przeciwko pańskiemu niezrozumieniu (*śmieją się obaj z Przyszańskim*).

STEFAN (zmieszany).

Jest ich zaledwie parę.

WIELOHRADZKI.

Lepszy wybór, niż liczba. Vous... permettez?

STEFAN.

Proszę.

WIELOHRADZKI.

Na białe kolanka warszawianek! Wszystkie te dziewice warte są grzechu.

STEFAN (cierpko).

Nie wiem.

WIELOHRADZKI.

To bolesne, szanowny panie, jeżeli w tym wieku, musisz się pan zdawać na cudze doświadczenie. Należy wiedzieć samemu.

STEFAN.

Tę gałęź umiejętności uważam za zupełnie zbyteczną dla siebie.

WIELOHRADZKI.

O... panie... Dla artysty niema zbytecznych umiejętności. Chciej mi pan uwierzyć.

STEFAN.

Nie należę do zwolenników ohydy w sztuce.

WIELOHRADZKI.

Z pewnych względów bardzo to pięknie, że tak jest. Ale, bądź co bądź, artysta powinien



zawsze stać na wyżynach kultury estetycznej, a ta—jak nam wiadomo—doszła dziś do tak subtelnego przerafinowania, że w ohydzie widzi jedynie odmienny rodzaj... piękna.

STEFAN.

Zasadą moją jest hołdowanie nie modzie, panującej w dniu dzisiejszym, ale pięknu i uczciwości, zarówno w życiu, jak i w sztuce.

WIELOHRADZKI

(jakby ubawiony wystąpieniem Stefana).

Kwestya uczciwości, zwłaszcza tej... w życiu, stanowczo nie należy do naszej rozmowy, przeto wracajmy coprędzej na łono sztuki. Czy możemy prosić pana o odsłonięcie nam tej większej pracy? (*wskazuje obraz, który Stefan przed wejściem strzyma ostonił*).

STEFAN (jakby się wahał chwilę).

PRYZSTAŃSKI.

Voilà... (*Wielohradzki i Przyszański podchodzą bliżej. Stefan odsłania obraz*).

PRYZSTAŃSKI (uśmiecha się znacząco do Wielohradzkiego).

WIELOHRADZKI (zdumiony, a zarazem jakby ucieszony)

Ha, ha!... to niespodzianka! Dalibóg, to... ona!

PRYZSTAŃSKI (chwytając go za rękę)

Csi!...

WIELOHRADZKI (ciszej)

Na białe kolanka, chyba jeszcze piękniejsza,  
niż dawniej (*przysuwa się do obrazu*).

STEFAN (zjadliwie)

Ostrożnie, panie mecenasie, świeżo malowane.

WIELOHRADZKI.

Świeżo malowane? Aha... (*gra spojrzeń*)  
dziękuję za ostrzeżenie.

STEFAN.

Skoro się przylepi, nie da się tak łatwo  
usunąć.

WIELOHRADZKI.

Bądź pan pewien, że pod tym względem, to  
wszystkie „one“ są jednakowe (*nowa gra spoj-  
rzeń*).

STEFAN (ostro)

Plamy...

WIELOHRADZKI.

Tak: plamy... (*zamienia z Przysłańskim po-  
rozumiewawcze uśmiechy*).

PRZYSTAŃSKI

(jakby prosił Wielohradzkiego o wybaczenie za synowca).

Voilà...

WIELOHRADZKI.

Szanowny panie! Nie chcąc dłużej narażać

na szwank pańskiej grzeczności, przystąpię odrazu do rzeczy. Z polecenia stryja pańskiego, przybyłem prosić pana, abys był łaskaw podjąć się zrobienia mego portretu.

PRYZSTAŃSKI (jakby się tłumaczył).

Opuszczając mnie, oświadczyłeś, że pragniesz sam pracować na siebie; zatem nie odrzucaj propozycji.

STEFAN (z rezygnacją)

Malarstwa salonowego dotychczas nie uprawiałem, skoro jednak stryj sobie tego życzy, to proszę. Zechce pan mecenas zasiąść w tym oto fotelu.

WIELOHRADZKI.

Siadam. (*Stefan szykuje sztalugę na prawo*).

PRYZSTAŃSKI (na ucho Wielohradzkiemu)

Będzie to znowu niespodzianka dla tego kogoś, co?

WIELOHRADZKI.

Aha...

STEFAN.

Zaczynam (*szkicuje na sztaludze mniejszej na prawo*). Nie ręczę bynajmniej, czy praca moja zadowolni wykwintny gust szanownego pana.

WIELOHRADZKI.

Praca, którą pan łaskawie podejmujesz, ubie-

gać się będzie o względy mojej... narzeczonej. Co do mnie, nigdybym nie był w stanie zadowolić siebie własnym wizerunkiem, albowiem osoba moja nie daje mi zadowolenia. Co gorsza jednak, że nie sprawia mi nawet wstrętu. Wobec czego jest mi zupełnie obojętną.

STEFAN.

Zazdroszczę panu mecenasowi tej obojętności dla siebie samego. Dla subtelного człowieka to wielka wygrana w życiu.

WIELOHRADZKI.

Szanowny panie—niestety, ta obojętność jest tylko odmiennym rodzajem egoizmu. Właściwie jest to najwyższy egoizm. Lenistwo, spotęgowane do maximum, które nie pozwala mi nawet na tyle trudu, ile potrzeba na zajrzenie wewnątrz swojej istoty. Ale mnie to bynajmniej nie martwi. Przeciwnie: cieszy mnie to, że nie należę do owych niezliczonych dziś krytyków własnego ja, którzy w trywialności swojej podobni są do chłopów, drapiących się ustawicznie po głowie.

PRYZSTAŃSKI.

Na honor! Dowcipnie powiedziane, panie Jerzy...

WIELOHRADZKI.

Człowiek tem się tylko różni od stworzeń nieuduchowionych, że posiada dowcip. Jedyna rzecz, dla której warto żyć na świecie.



PRYZSTAŃSKI.

A kobieta?...

WIELOHRADZKI.

Kobieta jest jednym z najbardziej udatnych dowcipów natury. Bo wszak niepodobna jej brać na seryo. (*Przystański śmieje się z zadowoleniem, Stefan spogląda ostro na Wielohradzkiego*).

STEFAN.

Już. Dziękuję panu.

WIELOHRADZKI.

Zachęcająco szybko (*wstaje i przygląda się rozpoczętemu szkicowi*). A jak zręcznie w dodatku... Sądzę, że wobec tego liczbę posiedzeń będziemy mogli zredukować do minimum.

STEFAN (nagle)

Ja wogóle nie wiem, czy... (*chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się*). Pozwoli pan, że chwilowo na parę dni przerwiemy posiedzenia... Ja muszę się porozumieć. Najdalej za dwa dni doniosę panu mecenasowi o pierwszym posiedzeniu.

WIELOHRADZKI.

Zgoda, szanowny panie. Oto mój adres. (*Podaje bilet*).

PRYZSTAŃSKI (*przygląda się szkicowi*)

Na honor! Podobieństwo uchwycone świetnie... Voilà...

WIELOHRADZKI.

Tak... przyszłość przed panem... dowidzenia.  
(*Zegna się i wychodzi, za nim Przystański, nie żegnając się z synowcem*).

STEFAN

(podchodzi do sztalug i z zjadliwym zadowoleniem dodaje kilka ostrych rysów, mówiąc:)

Wspaniały! (*Jeszcze chwilę rysuje, uzupełniając uchwycone podobieństwo*).

PRYZSTAŃSKI

(wraca i, patrząc bystro w oczy synowcowi, mówi:)

Stefan... co to miało znaczyć?!

STEFAN.

Co, proszę stryja?

PRYZSTAŃSKI.

Twoje zachowanie się?...

STEFAN.

To trudno; ja nie mam kwalifikacyi na salonowca.

PRYZSTAŃSKI.

Widzisz przed sobą człowieka starszego, w dodatku mojego przyjaciela, i przyjmujesz go tak, jak z pewnością nie przyjąłbyś żadnego z kolegów swoich.

STEFAN.

Ja... bardzo przepraszam stryja dobrodzieja,

ale ja... nie mogę znieść tego tonu, z jakim ten pan zwracał się do mnie... Ja i tak dziwię się swojej powściągliwości... ja wreszcie... nie będę malował jego portretu! Ja... nie czuję się na siłach.

PRYZSTAŃSKI.

Dobrze. Zakomunikuję mu to. Nie chcesz—trudno. Odrzuciłeś w domu moją pomoc, n. b. należną ci po śmierci ojca, odrzucasz ją po za domem — niech będzie i tak. Pracuj więc sam na siebie, jeżeli masz ochotę.

STEFAN.

Nie widzę potrzeby wyczerpywania kieszeni stryja dobrodzieja, skoro kapitalik, zapisany na moje imię przez nieboszczkę matkę, w zupełności mi wystarcza.

PRYZSTAŃSKI (uśmiecha się pobłaźliwie).

Co za kapitalik?... wolne żarty!... Ale nie śmiem krępować twojej woli... jesteś pełnoletni. Zresztą nie o tem mowa... (*rozgląda się po pokoju*) Mieszkanko masz niebrzydkie... Tutaj pracownia, a tam (*chce iść na lewo*).

STEFAN (podbiega).

Przepraszam!...

PRYZSTAŃSKI.

Zajęte? Aha!

STEFAN (zmieszany).

PRZYSTAŃSKI.

Nie rumień się, mój „synowcze.“ To rzecz zwyczajna. Domyślałem się tego...

STEFAN.

Nie, proszę stryja, to nie jest tak, jak stryj myśli. Ona... nie mieszka ze mną.

PRZYSTAŃSKI.

Nie mieszka z tobą?... (*uśmiech*) Mieszka oddzielnie? Ale, bądź co bądź, wy macie ze sobą coś wspólnego?.. Co?.. Nie patrz na mnie tak złowrogo... Nie przyszedłem grać wobec ciebie roli srogiego katona. Sam wypowiedziałeś się (może nieumyślnie), że „ona“ nie mieszka z tobą, przyszedłem więc do wniosku, że jakaś „ona“ istnieje... a że w dodatku ujrzałem ją na obrazie, przeto wiem nawet, kto ona jest. Z świadomości tej zrobię ten tylko użytek, że zapytam ciebie, dlaczego właściwie opuściłaś mój dom, skoro nie zamieszkałaś z nią?

STEFAN.

Ja... dlatego nie zamieszkałem z nią, proszę stryja, że... ja... kobiety za... dowcip natury... nie uważam!

PRZYSTAŃSKI.

Odpowiedź ostra, ale nie na pytanie. Idźmy jednak dalej, i mówmy otwarcie: ty ją traktujesz na seryo?



STEFAN.

Tak, proszę stryja, ja pragnę jej podać rękę i podźwignąć ją, i jej ojca z upadku.

PRZYSTAŃSKI.

Idea w zasadzie jest bardzo efektowna, ale jej wykonanie... dyabło trudne. No, ale gdy się ma 21 lat... Znam ja te dreszcze młodości... Jednak, wierzaj mi Stefan, zgoła inne ideały świeciły nam za naszych czasów... na drodze życia... Myśmy również usiłowali coś „robić;“ ale w bardziej donośnej, bardziej pożytecznej dziedzinie...

STEFAN.

To nie moja wina, stryju, że ja na bagnach muszę szukać słońca. Ja już chyba na świat przyszedłem przeżyty i znudzony. Ledwie zdążyłem zakosztować życia, już poczułem niesmak, niezadowolenie, odrętwienie moralne... Mnie nikt nie dał materiału, z którego bym mógł sobie stworzyć życie... Twoje ideały, stryju, były dla mnie za zimne... Pieniądz mnie nie nęcił... Byłem obojętny na wszystko... Dopiero tam, na tej zabawie, na którą wprowadził mnie przyjaciel stryja, pan Krzywobłocki, zabiło po raz pierwszy moje serce... nie uczuciem miłości, nie... ta już mi zbrzydła, choć jej jeszcze nie zaznałem, ale uczuciem miłości bliźniego... Widziałem dookoła siebie, świat taki lekkomyślny, upadły... zarosły chwastem... I nagle na tem „bagnie“ — nie, na „bagienku“ raczej, dojrzałem promyczek słońca: tęsknotę do uczci-

wego życia... To mnie zajęło, proszę stryja. Od tej pory, jej dramat życiowy, jej tęsknota do lepszego życia... stały się moją tęsknotą, moim dramatem. Postanowiłem zbliżyć się do niej w tym celu, aby jej duszę wrócić światu. Oto moje wyznanie wiary.

PRZYSTAŃSKI.

(pobity wyznaniem Stefana, nie znajduje na razie słów).

Voilà... to jest bardzo pięknie pomyślane... Nie będę z tobą walczył o możliwość urzeczywistnienia tej idei, bo szkoda mojej energii na nierówną walkę. Jestem już zanadto wystygły, bym mógł ci sprostac w gorącej polemice. Zaledwie stać mnie na rzucenie gorzkiej, zimnej kropli wody, na ogień twoich zapalów. Ale trudno: musimy grać w otwarte karty. Zapewne słyszałeś o tem, że Helena ..

STEFAN.

Wiem, wiem, stryju. .

PRZYSTAŃSKI.

Nie przerywaj mi... Oto, że Helena przebywała w naszym gronie... Znał ją Krzywobłocki, Wielohradzki, który tu właśnie był przed chwilą, no i... ja ją znałem czas jakiś...

STEFAN (boleśnie).

Stryju, poco mi to mówisz? Ja o tem wiedziałem... ja wiedziałem... ale ja przed samym sobą kryłem się z tem.

PRYZSTAŃSKI (prawie się śmieje)

Voilà? Cóż w tem straszego?.. Na honor! nie widzę powodu do dramatyzowania. (*Silne szarpnięcie drzwi—jedno, drugie—drzwi otwarte—zamek w drzwiach wyrwany. Bohdan w niezapiętej kurtce studenckiej, drżący i pomieszany staje przed rozmawiającymi. Przystański patrzy na to z podziwem. Podobnież Stefan. Przystański kłania się po chwili z uśmiechem, Bohdan również się kłania*).

PRYZSTAŃSKI.

Przystański jestem. .

STEFAN (ciszej).

Stryj mój... kolega Dzierżykraj...

PRYZSTAŃSKI.

Przepraszam... Dowidzenia Stefanku! (*żegnając się. Przystański wychodzi*).

STEFAN (do Bohdana).

Co ci się stało?

BOHDAN.

Myślał ja, że otwarte... tak i szarpnął...

STEFAN.

Słyszeliście ztąd jaką rozmowę?

BOHDAN.

Nie.

STEFAN.

To przymknij drzwi.

BOHDAN

(idzie do drzwi—wraca jeszcze podniecony).

STEFAN.

Coś ty taki dziwny?

BOHDAN (sili się na uśmiech).

Nic... Ot, przestraszył się, że drzwi...

STEFAN.

Głupstwo. Słuchaj, Bohdan, ani słowa o tem, żeś widział tutaj stryja. Rozumiesz mnie? A teraz: odpowiedz mi szczerze na pytanie. Wiem, że twojej przyjaźni i twojej radzie mogę ufać! Prawda? (*siada na otomanie*).

BOHDAN.

Nikomu dziś nie wierz, Stefan, nikomu. Ta i mnie. (*silnie*) Ja ci mówię.

STEFAN.

Obmawiasz się! Słuchaj, Bohdan, powiedz mi szczerze: jak ty się zapatrujesz na mój stosunek z Heleną? Prawda, że ja postępuję nieuczciwie, żyjąc z nią tak bez jutra?

BOHDAN (patrzy w ziemię).

Tak... Pewnie... Ale...



STEFAN.

Widzisz to, co ja robię, to jest dalszy ciąg tego, co robili inni, ci... moi poprzednicy... Ale ja nie chcę iść w ich ślady. Nie!

BOHDAN (jakby odżył)

Ta, zerwij z nią, zerwij!

STEFAN (gwałtownie)

Co?! Zerwać? Ty mi to radzisz? Bohdan!..

BOHDAN.

Nie chcesz jej wyzyskiwać, to i zerwij. Będzie uczciwiej. Bo i cóż? Taki ona... (*macha ręką*).

STEFAN.

Co ona?

BOHDAN.

No... nic...

STEFAN (bystre spojrzenie).

Masz co przeciwko niej?

BOHDAN.

Nic... nic...

STEFAN.

Ty mnie, widzę, Bohdanie, nie znasz. Ja z nią nie zerwę, przeciwnie (*silne postanowienie maluje się w jego oczach*) przeciwnie...

BOHDAN

(patrzy w oczy Stefanowi skruszony i zdziwiony)

Stefek... ja tak nie myślał... ty... pluń mi w gębę.

STEFAN.

Za co?

BOHDAN.

Pluń! Ja ci mówię... ty pluń na mnie!

STEFAN.

Co się stało?

BOHDAN (zły na siebie).

Taki. Ty sam winien temu. Wysłałeś nas do tego ot pokoju. Z początku rozmowa... o tem, o owem... Ale ona była niespokojna, i ja był niepokojny... Sami... Ona taka ładna... aż mi muskuły zadrgały w rękach... patrzył ja... patrzył... siłował się ze sobą... wreszcie... tfu! Porwał ją w objęcia.

STEFAN (napada na niego).

A ona ???

BOHDAN.

Ja... ja... miał ją już pocałować...

STEFAN (drży)

I????

BOHDAN.

...obudził się we mnie człowiek uczciwy.. porwał się ja—drzwi były zamknięte—taki... wyrwał ich.

STEFAN (odetchnął)

Aaaa... Tyś zacny chłop, Bohdziu... Gdyby tak na innego trafiło, powłókł by ją w bagno. Aa! trzeba ją wydobyć... trzeba ją raz z tego wydobyć! To okropne, co takie życie z kobiety zrobić może. Ona się już nie umie bronić. To jest straszne! Trzeba ją raz z tego wydobyć!! Ty mi w tem pomożesz. Co? (*bierze go za rękę*).

BOHDAN.

Puść mnie, Stefek, puść. „Pohana“ ta ręka: ty jej nie ściskaj. Nie zrobił ja dzisiaj swojej porcyi gimnastyki — wszystko przez to... tfu! Na pohybel! (*wybiega. W drzwiach omal nie potrąca Wojniczka, który w stanie podchmielonym, bez skrzypiec pod pachą, skrada się nieśmiało ku Stefanowi*).

WOJNICZEK.

Mistrzuniu złociuteńki.. najwyższe cis pokory i skruchy... przepraszam... Jak Moniuszkę kocham: nie chciałem, mistrzuniu, obrazić... Zdejm złość z serca, mistrzuniu, i złóż ją na ołtarzu mojej nędzy, jako ja złożyłem skrzypeczki. Bodaj mnie symfonia! Na strych mi iść, nie do ciebie, mistrzuniu, który na Parnasie zasiadasz... bo dla mnie nie na Parnasie miejsce, ale w knajpie... Pod stołem... tak... pod stołem...

STEFAN.

Jak pan wyglądasz, panie Wojniczek?

WOJNICZEK.

Było się... niby tam... wiesz, mistrzuniu? Ta-  
ka filharmonia bez muzyki, ale z wódką... Przy-  
szedł ten i ów... znajomy, przyjaciel—taki tam przy-  
jaciół od kieliszka... hołota, mistrzuniu, ale ja lu-  
bię hołocie imponować... znają mnie, że zawsze  
dotychczas byłem „przy smyczkach“... cóż było  
robić... kazałem więc podać uwerturę wódeczki,  
potem symfonię piwa—zrobił się maleńki koncer-  
cik... Aż wreszcie zgrzyt, mistrzuniu, kazali płą-  
cić. Ani smyczka!.. Powiada: „oddam... co do  
jednego taktu oddam“... Nie, nie chciał, gałgan...  
wziął skrzypceczkę w zastaw, a mnie, mistrzuniu,  
noga... taki silny ton... pewnie mi podarł (*ogląda  
się za siebie*) ostatnie... Zmiłuj się, mistrzuniu, po-  
życz choć ze dwa smyczki... taka wyjątkowa sy-  
tuacja muzyczna... pożycz...

STEFAN.

Nie, panie Wojniczek, ja panu nie pożyczę.

WOJNICZEK.

Nie?

STEFAN.

Nie! (*po chwili*). Panie Wojniczek, czy chciał-  
byś pan wrócić do szacunku u ludzi?

WOJNICZEK.

He, he, mistrzuniu! Trudno by to było. Ja  
już zgubiłem takt w życiu... zgubiłem! Na za-  
wsze!



STEFAN.

A gdybym ja panu dopomógł?

WOJNICZEK (uradowany).

O, pożycz, mistrzuniu, pożycz!..

STEFAN.

Ale nie pieniędzmi, nie.

WOJNICZEK.

A jak? (*Chwila*).

STEFAN.

Ja... żenię się z pańską córką.

WOJNICZEK

(patrzy zdziwiony na Stefana; nagle wybucha śmiechem)

Figlarz z mistrzunia... he, he, he!.. figlarz!  
(*grozi mu palcem*).

STEFAN (oburzony).

Panie Wojniczek, to nie był brudny żart!

WOJNICZEK.

Nie żart?

STEFAN.

To jest moje postanowienie.

WOJNICZEK.

Postanowienie?.. Wziąć ślub z moją córką...  
taki... przy ołtarzu... w kościele... E, nie... nie  
żartuj, mistrzuniu, z takich rzeczy... nie żartuj...

STEFAN.

Powtarzam panu raz jeszcze, że nie żartuję.

WOJNICZEK.

Ale moja córka, mistrzuniu, już miała trzy wesela...

STEFAN.

Panie Wojniczek, ja nie jestem dzieckiem. Pan mnie źle sądzisz: ja wiem o wszystkim. Postanowienie moje jest poważne. Żadna przeszłość dla mnie nie istnieje.

WOJNICZEK.

Ale, mistrzuniu, ojciec twój... opiekun... co on? Bo moja córka taka „ten“ i ja... a ty, Przy-  
stański, z pięknej rodziny... ludzie by brzdąkali...  
Ech!.. (*macha ręką*).

STEFAN.

Więc pan nie chcesz tego, panie Wojniczek?

WOJNICZEK.

Ja nie chcę? Nieprawda... Dla mnie, mistrzu-  
niu, to przecież tak, jakby mi kto na rękę rzucił  
z tysiąc smyczków... co tysiąc — pięć, dziesięć ty-  
sięcy!.. to tak, jakby mi jaka melodia pod pachą  
bez skrzypków zagrała... jaka melodia z nieba, czy  
z obłoków... Ja nie mogę złapać taktu, bo jestem  
trochę „ten,“ ale córka moja... Ona tu jest?

STEFAN.

Jest.

WOJNICZEK.

Mówiłeś jej, mistrzuniu?

STEFAN.

Nie, pan, jako ojciec, powiesz jej to pierwszy.

WOJNICZEK (śmieje się dziwnie)

Jako ojciec... prawda... jako ojciec... Tak... Ale ja sfałszuję, mistrzuniu.. Ja się boję... Czemu pan jej tego nie powiesz?

STEFAN.

Widzi pan, ja jestem dziś taki rozdrażniony i taki podniecony różnemi przejściami, że nie umiałbym składnie powiedzieć. Ja potrzebuję trochę powietrza... Za chwilę ja powrócę tutaj... Tymczasem, nie mam sił... Przecież to nie jest to samo, co powiedzieć komu „dzień dobry“... Co innego dla pana, jako ojca...

WOJNICZEK (znów śmieje się).

He, he... jako ojca... mnie się to wydaje takie dziwne... bo ja wiem...

STEFAN (z obawą).

Czy byś pan przypuszczał, że jej to przykrość sprawi?

WOJNICZEK.

Nie... nie... napewno nie... Ba...

STEFAN.

Skoro tak, to niechże pan właśnie zaniesie jej tę wiadomość. Zostawiam was samych (*wybiega*).

WOJNICZEK

(sam, uśmiecha się dziwnie, jakby zakłopotany)

Bo ja wiem?.. Ona tam... aha... ojciec.. (*idzie do drzwi*) Heluś! (*głośniej*) Helenko!

HELENA (we drzwiach)

Czego ojciec znów chce? (*ziewa*).

WOJNICZEK.

Wesoła nowina, Heluś...

HELENA (wchodzi, spogląda z odrazą na Wojniczka).

WOJNICZEK.

Nowina!

HELENA (z ironią).

Nowina?.. Nie mam pieniędzy.

WOJNICZEK.

Ja nie chcę pieniędzy, córuniu. Nie. Ja, ojciec..

HELENA.

Co takiego?

WOJNICZEK.

Ja, ojciec... ojciec...

HELENA.

Wiem o tem..



WOJNICZEK.

Przynoszę ci nowinę... Ale ty to pewnie wiedziałaś... He, he, figlarka z ciebie!... He, he... spodziewałaś się tego, co?

HELENA.

Nie wiem o co chodzi?

WOJNICZEK (śmieje się z zadowoleniem)

He, he, he!..

HELENA

(rozgląda się po pokoju i dostrzega na sztalndze szkic głowy Wielohradzkiego. Nachyla się)

Co to? (*Podbiega do Wojniczka, chwytając go za rękę*) On był tutaj? Kiedy?

WOJNICZEK.

Dopiero co poszedł... Prosił mnie właśnie, jako ojca... jako ojca... żebym ci zakomunikował...

HELENA.

No, niechże ojciec mówi: co takiego?

WOJNICZEK.

Widzisz... zaraz ci powiem, tylko mnie wprzód pocałuj... w twarz... tyle czasu mnie już nie całowałaś... tyle czasu... No...

HELENA.

E, co się tam ojcu zachciewa! Wódka aż kręci w nosie! Będę tam całować. Niechże ojciec mówi prędko, co kazał powiedzieć...

WOJNICZEK.

A pocałujesz mnie, jak ci powiem?

HELENA.

No... dobrze. Niech ojciec mówi...

WOJNICZEK.

Uważasz... On chce... chce się z tobą... ożenić! (*podstawia twarz do pocałowania*).

HELENA (odpycha go gwałtownie)

Kto?

WOJNICZEK.

Kto? Stefan! (*Wyraz rozczarowania maluje się na twarzy Heleny. Uśmiecha się pół pogardliwie, pół pytająco. Wojniczek patrzy na nią osłupiałym wzrokiem*).

Zasłona.

Koniec aktu pierwszego.

## A K T II-gi.

---

*(W trzy dni potem. Stefan maluje przy małej sztaludze głowę Wielohradzkiego. Bohdan stoi opodal i hanthuje się).*

STEFAN (nerwowo)

Głowa na wystawę. Typ... typ... jakich mało. „Pan mecenas.“ Uważasz, Bohdziu, taki pan mecenas, co to, zanim raczy przestąpić próg twojej pracowni, opatrzy przedtem swój arystokratyczny organ powonienia różnemi wonnościami. Ha, ha, ha! Potem, uważasz, raczy cię łaskawie poklepać po ambicyi kilkoma pięknie szlifowanymi frazesami, w rodzaju: „malujmy, uczmy się, będziemy wielkimi“... a przy wykwintnej, płyciutkiej dyspucie, wyleje ci na biedną głowę cały kubel pachnącej salonowej erudycyi, od której zakręci ci się w nosie tak siarczyście, że uczujesz bajeczną ochotę kichnięcia mu w sam środek przedziałku na głowie i powiedzenia: „przepraszam cię, mało jedna.“ Ach, co by to była za rozkosz!

Wyobrażam sobie, z jak bajecznie wykwintną miną podniósł by się pan mecenas z krzeselka, i wyśpiewał arystokratycznym głosem: „szanowny pan raczyłeś się omylić, ja jestem Wielohradzki.“ A... wtedy nic, tylko ująć jego delikatną dłoń, uścisnąć ją tak, aż do piątego pokolenia i zatrąbić mu w same ucho: „a ja syn szewca z Kozienic!“ Ha, ha, ha!.. Kiep jestem, jeżeliby pan Wielohradzki nie zemdlał z wrażenia. A, toby była cudowna uciecha!

BOHDAN.

Ta ty, Stefek, dziś w kokosowym humorze.  
Co?

STEFAN.

A, powiadam ci, jestem bajecznie zadowolony.

BOHDAN.

Ta... z czego?

STEFAN.

Z siebie. Malowałem dziś od rana Winicyusza i Ligę. Tak mi szło, jak nigdy! Bajecznie! (*Podbiega do obrazu na lewo*). Patrz! (*odslania*). No, patrzcie, Bohdziu. Rzuć te hantliska na ziemię.

BOHDAN.

Czekaj, tylko jeszcze pięć razy. Raz...

STEFAN.

E... z ciebie to też mecenas... do malowania!



BOHDAN.

Ty wiesz, ja muszę swoje. Jeszcze trzy razy.  
Raz...

STEFAN (po chwili)

Widziałeś, Bohdziu, starego Wojniczka? Co? Powiedz no sam! Taka zmiana! W ciągu jednego dnia. Jednego... bo przecież... kiedy to było?.. Onegdaj... prawda?..

BOHDAN.

Tak.

STEFAN.

Tylko go patrzeć. Pójdziemy razem do tego... wiesz... Starzeńskiego; przyrzekł mi zaprotegować go do orkiestry. Możebyś i ty poszedł z nami, co?

BOHDAN.

A o której?

STEFAN.

O piątej (*patrzy na zegarek*). Jeszcze jest trochę czasu. A, ten człowiek, jakby się drugi raz na świat narodził, jakby nie przeżył nigdy tej kilkuletniej ohydy. Rozkosz patrzeć na taką... (*szuka słów*).

BOHDAN.

Restitutio ad integrum?

STEFAN (uderza się w czoło).

Ale, ale, co tam w uniwerku? Nie byłem już kilka dni.

BOHDAN.

To źle. Rozprawę podałeś?

STEFAN.

Zacząłem pisać, ale nie skończyłem.

BOHDAN.

Ta, się śpiesz.

STEFAN.

Późno?

BOHDAN.

Już po terminie.

STEFAN.

Prawda, przecież to połowa kwietnia... Oj, do licha!.. Nie wiem, jak to będzie: chyba nie będę zdawał w tym roku.

BOHDAN.

Czemu?

STEFAN.

Przepuściłem dużo. Dopóki obrazu nie wykończę, do kursów, ani do rozprawy się nie wezmę, a jak wykończę, to już będzie maj—i zapóźno. Ostatecznie, mój drogi, choćbym i nie zdawał w tym roku, to i tak będę mógł sobie powiedzieć, że coś zrobiłem. Choćby mi się nawet i obraz nie udał, to jeszcze *to* pozostanie. A kto wie, czy to nie więcej znaczy? Bo widzisz, poczucie, że się coś zrobiło, nawet dużo zrobiło — przecież dwoje ludzi — jest takie rozkoszne, takie

zadawałające... Ach! niech tam dyabli wezmą wszystkich pesymistów!—warto żyć na świecie!

BOHDAN (po chwili milczenia)

Stefek, chciał ja ciebie zapytać...

STEFAN.

Co?

BOHDAN.

Czy ty, taki przemyślał sobie dobrze wszystko, co cię czeka?

STEFAN.

Z powodu?

BOHDAN.

Z powodu... tego... no, że ty z nią...

STEFAN (macha ręką)

A!

BOHDAN.

Stryj?...

STEFAN.

Cóż: stryj... to jest głupia sprawa, ale trudno... przecież ja nie mogę odstępować od swoich zasad dlatego, że mój stryj i opiekun... to trudno...

BOHDAN.

Zawsze taki, świat, rodzina, gadanie...

STEFAN.

Gwizdzę na wszystko!

BOHDAN.

No tak... (po chwili) A cóż ona... jakże?

STEFAN (jakby się zasępił)

Widzisz... Z nią... z nią... to ja jeszcze nic nie mówiłem.

BOHDAN.

Nic?

STEFAN.

Nic. Ona już wie od Wojniczka. Ale ja sam nic jej nie mówię, bo ja czekam od niej pierwszego słowa. Mnie zarazem i bawi, i dęczy ta zagadkowość chwilowa. A ona ma tyle subtelności w sobie, że słówkiem się nie zdradza, iż wie o tem. Tak, jakby nigdy nic. Wszystko jest po dawnemu. Ona chodzi do zajęcia, czyta w domu, przychodzi do mnie na gawędkę — słowem, jak dotychczas było. Stosunek między nami jest równie czysty... tylko ona, jakby spoważniała trochę...

BOHDAN.

Taki, czemu jej nie mówisz?

STEFAN.

Bo, widzisz, mnie to krępuje... Może niewłaściwie... Ale mnie się zdaje, że gdybym ja jej to wręcz... tak oto... powiedział... to wyglądało by to trochę na jakąś chwałbę z mojej strony, na łaskę... ja, broń Boże, nie chcę nic podkreślać, nic zaznaczać, żeby jej nie urazić... W każdym razie ona ma nadspodziewanie dużo subtelności i wrodzonego taktu... To ja jeszcze podnosi w moich oczach.



BOHDAN.

Taki, i zakochałeś się, bratku.

STEFAN.

Bo ja wiem, jak się to nazywa... Może i tak... Ale w rezultacie, ja o miłość tak dalece nie dbam, bo miłość, to instynkt i kwita! W *połączeniu* się z Heleną widzę urzeczywistnienie swojej idei, i to mnie zapala...

BOHDAN (po chwili)

Ta... szczęśliwy chłop z ciebie, Stefek!..

STEFAN.

Licho wie, czy ja w gruncie rzeczy jestem szczęśliwy! Niby!... tak mi się zdaje, że nim będę...

BOHDAN.

Idea twoja idzie naprzód...

STEFAN.

Potrochu...

BOHDAN.

Widzisz... A moja?.. Tfu!.. jaki u was w Warszawie podły gatunek młodych ludzi.

STEFAN.

No?

BOHDAN.

W bilard grać, zaczepiać, tańcować, pić w knajpie — toż idą, a do gimnastyki się wziąć nie chcą. Taki zginią żywcem, jak Boga kocham!

STEFAN (wybuchając śmiechem)

A niechże cię ozłoci, mój Bohdańciu! Kolo-  
salny chłop z ciebie. Kiep jestem, jeżeli cię nie  
umieszczę gdzie obok mojego „pana mecenasa.“  
Nie gniewaj się, chłopie, ale ty masz małego  
„fijoła“ na punkcie gimnastyki, co?

BOHDAN.

Ta, każdy musi mieć swojego „fijoła.“ Ale  
to bieda, że te wasze „fijoły“ są podłe, marne,  
blagierskie...

STEFAN.

No, nie gniewaj się... *(Wchodzi Helena. Znać,  
że przysłała w jakichś podstępnych zamiarach. Ste-  
fan zmieszany, pośpiesznie zakrywa rozpoczęty szkic.  
Bohdan kłania się Helenie zdaleka, poczem bierze  
za czapkę).*

STEFAN.

Cóż to już uciekasz, Bohdzu? Mieliśmy ra-  
zem iść?

BOHDAN.

Taki, przypomniał ja sobie... Nie mogę...  
Mnie pora iść... Do widzenia... *(wychodzi. Helena  
śmieje się).*

STEFAN (zdziwiony akcentem)

Myślałem, że przyjdiesz później.

HELENA (zaczepnie).

A tak... miałam przyjść później — ja jeszcze

wyjdę na miasto, tymczasem wstąpiłam umyślnie, żeby zobaczyć, co tam pan Stefan porabia?.. Może ma jakie wizytki u siebie? Bo tak zapowiadał, żeby, broń Boże, nie przyjść wcześniej... O, to jest grubo podejrzan!.. No, nie witasz się ze mną?

STEFAN.

Ach, zapomniałem... (*witają się*).

HELENA.

Co ty tam malujesz?

STEFAN (*udaje dzieciaka*)

A wodę.

HELENA.

A po co zakrywasz?

STEFAN.

Żeby nie wyciekła.

HELENA (*sili się na wesołość*).

Nieprawda, to nie woda. To musi być portret!

STEFAN (*poruszony*)

Dlaczego?

HELENA.

Bo... bo... w takim formacie, to... zwykle bywają portrety.

STEFAN.

Nie, to nie portret.

HELENA.

A ja zobaczę (*chce podnieść zasłonę*).

STEFAN (*gwałtownie*)

Nie można!!!.

HELENA (*drgnęła*)

Ach! (*Chwila. Pierwsza się sili na wesolość*).  
A ja mogę być zazdrosna, bo to może jaka piękna dama, kiedy się Stefa tak zmieszał?

STEFAN (*żywo*)

Bardzo jesteś o mnie zazdrosna. Co?

HELENA.

Bardzo! No, niech mi Stefa powie teraz.

STEFAN.

Powiem ci. To nie jest żadna piękna dama, bo to jest... mężczyzna.

HELENA (*udając zdziwienie*)

Mężczyzna? Naprawdę?.. A ładny? Podobny do Stefa?

STEFAN.

O, ładniejszy...

HELENA.

Aha... to dlatego Stefa tak opinał sztalugi szpilkami, dlatego...



STEFAN.

Nie, nie dlatego. Tylko, widzisz, ten pan prosił, żeby jego portretu nikt nie oglądał, bo on... się żeni.

HELENA

(wybuchła, wnet jednak powstrzymuje się).

Co? Żeni się??

STEFAN (powtarza machinalnie).

Tak, żeni się... *(Chwila. Helena przechodzi walkę wewnętrzną, którą kończy nieszczerym, nerwowym śmiechem).*

STEFAN.

Tak się śmiejesz?..

HELENA.

Bo to takie niemądre...

STEFAN.

Co niemądre?

HELENA.

Kiedy się kto... żeni...

STEFAN (patrzy na nią przerażony)

HELENA

(sposstrzega się, że niewłaściwie powiedziała)

Ach, co ja za głupstwa dzisiaj plotę!.. Nie słuchaj mnie, Stefa... Kobieta, jak powiada Bolek,

jest najgłupsze zwierzę na świecie... Za to wy, mężczyźni, jesteście panami świata... Chciałabym być mężczyzną... Przynajmniej robiłabym, co by mi się podobało... Oj, używałabym!.. A kochałabym na każdej ulicy!.. Trzydzieści dni w miesiącu — trzydzieści ulic bym obeszła... na każdym rogu miałabym kochankę... A to by była uciecha... ha, ha, ha!..

WOJNICZEK

(wszedł pocichu, czysto ubrany, umyty, mówi jowialnie, z łzawem zadowoleniem, zarazem z bojaźnią)

Dzień dobry, moje dzieci... moje dzieci...

STEFAN (żywo).

Dzień dobry panu! (*Powitanie*).

WOJNICZEK (do Heleny—chce ją pocałować)

Dzień dobry, Heluś, nie witałaś się dziś ze mną.

HELENA

(podaje bokiem twarz do pocałowania)

Nie lubię czułości. No, do widzenia, Stefan.

STEFAN.

Prędko przyjdziesz?

HELENA.

Tak, jakeśmy się umówili: o wpół do szóstej będę z powrotem (*wychodzi*).

WOJNICZEK

(po jej odejściu, siląc się na jowialność).

Słyszałeś pan — ona nie lubi czułości... he, he, he... zawsze wesoła. Zawsze weso... *(po chwili chrząkając, spogląda na Stefana i dostrzega chmurę na jego czole)*. Co tam słyhać, mistrzu-niu? Wszystko dobrze? *(chrząka)*.

STEFAN *(nagle)*

Panie Wojniczek, pan zna tego? Co? *(wskazuje na portret)*.

WOJNICZEK.

Zkąd on się wziął tutaj?

STEFAN *(wymijająco)*

Zobaczyłem go gdzieś na zabawie i naszkicowałem. Wydał mi się oryginalnym.

WOJNICZEK *(z przest్రachem)*

Panie, to...

STEFAN.

Kto on jest, to ja wiem.

WOJNICZEK.

To jeden z tych... *(spuszcza głowę)* Łotr!... Łotr, panie Stefanie. To... właśnie on... właśnie on...

STEFAN *(powtarza)*

On?..

WOJNICZEK.

Tak. On! *(Chwila—patrzy na portret)*. To

łotr! Żebym mógł mu kiedy spojrzeć w twarz tak, jak teraz, i plunąć w same oczy, o tak! (*pluje*) Oj, przepraszam, mistrzuniu złociuteńki, przepraszam... zapomniałem się...

STEFAN.

Nic nie szkodzi, panie Wojniczek, nic nie szkodzi.

WOJNICZEK.

Panie Stefanie, czy ona widziała?..

STEFAN.

Sądzę, że widziała...

WOJNICZEK.

Tak? (*Chwila przygnębienia. Sili się na smutną rezygnację*). Ha! miałem dziś złe przecucia. Tak. Wyszedłem z domu... tak się jakoś noktiurnowo zrobiło na dworze... deszczyk zaczął padać... powiedziałem sobie: brzydka melodia, smutna melodia...

STEFAN (*niezrozumiał, przestraszony*).

A bo co?.. Czyżby to?..

WOJNICZEK (*nie rozumie Stefana*)

Więc powiedziała panu, że...

STEFAN (*jeszcze więcej przestraszony*).

To ona jego... Co?



WOJNICZEK.

Znienawidziła, panie! Jak Boga miłuje... O co poszło—nie wiem, ale wypędziła go! Tak!

STEFAN.

Tak?

WOJNICZEK (gorąco)

Tak, panie, tak.

STEFAN (odetchnął swobodnie)

WOJNICZEK.

Może pan być pewny, że tak jest.

STEFAN (brawuruje)

Ja nawet nie myślałem o tem, to mi jest względnie obojętne.

WOJNICZEK.

No, to chwała Bogu!

STEFAN.

Panie Wojniczek, ale pan onegdaj rozmawiał z Heleną, co?

WOJNICZEK (znów przestraszony).

A bo co?

STEFAN.

Nic, tylko tak się pytam.

WOJNICZEK.

A jakże... rozmawiałem. (*trochę zmieszany*)  
Nie mówiła panu?

STEFAN.

A bo miała mi co powiedzieć??

WOJNICZEK.

Jakto... czyby się co... odmieniło... mistrzuniu?

STEFAN (*patrzy pytająco. — Chwila*)

WOJNICZEK.

To ja się widać przesłyszałem... Mistrzuniu!  
powiedz ty mi na miłość Boską! Czyś ty to mówił onegdaj?.. Czy mi się... zdawało??

STEFAN.

Co?

WOJNICZEK.

Że się chcesz z moją córką?...

STEFAN (*uspokojony, żywo*).

Ależ, tak, tak. Mówiłem, nie cofam tego.

WOJNICZEK (*również uspokojony*).

Bo to, widzi pan, ja nie dowierzałem swojej pamięci, byłem wtedy nie zupełnie trzeźwy. Myślałem, że ty... zwyczajnie, jak to młody... przelotnie (*macha ręką*). Ja się już przyzwyczyłem do tego... To już trwa kilka lat... Widzi pan,

u nas nigdy nie było bogato... Mieszkało się na przedmieściu—pan może wie—w domu pańskiego stryja.

STEFAN.

W domu mojego stryja?

WOJNICZEK.

Tak. Stryj pański zacny człowiek: o komorne nie przyciskał. A u nas była bieda... bieda, panie. Żona, póki żyła... pracowała... ja myślałem o sztuce!.. He, he he! Niby to coś stworzyć chciałem, a nie szło... a długi szły... Oj, szły!... Żonę Bóg zabrał ze świata, a z nią i praktyczność. Stara historia!.. Wlazłem w taką dysharmonię życiową, że aż w knajpie musiałem szukać ukojenia... Znalazło się grono przyjaciół... Przyjaciół?!.. Łotrów, panie, nie przyjaciół... Córką została na opiece sąsiadów i kumoszek... Było, panie, coraz ciężej... A ten... pan wie... przyjeżdżał nie raz ze stryjem pańskim... piękny, układowy, podobał się jej... cóż się dziwić, panie?... Nęcił ją... kumoszki namawiały... a wreszcie nędza, panie Stefanie, to taki straszny kusiciel! Nawet cienia żalu do niej mieć nie mogę... (*chwila milczenia*). Dwa, czy trzy lata, a potem... znów bieda... Znów do stryja pańskiego po ratunek... Stryj pański zacny człowiek... I znowu było grosza poddostatkiem... (*otrząsa się ze wstrętem*). Po trzeźwemu wymyślałem sobie od ostatnich, a po pijanemu brałem pieniądze... (*znów milczenie*). Nędza, panie

Stefanie, straszny kusiciel... Nawet cienia żalu do niej mieć nie mogę... Chyba do siebie...

STEFAN.

Za co?

WOJNICZEK.

Za co?.. Za co?.. Baty dać takiemu ojcu, który nie umiał wyżywić własnej córki, baty dać!!! Baty!!!.. Bo, widzi pan, ja (*jakby tajemnicę powiedział*) zrobiłem mezalians.

STEFAN (patrzy niespokojnie na Wojniczka).

WOJNICZEK.

Tak, panie, zrobiłem mezalians... Młody byłem, słabego charakteru... i tak się stało... Trzeba było się ożenić z córką prostego rzemieślnika!.. Z chłopką!... Nie rozumieliśmy się... To jest bardzo niedobre... Dla artysty, panie Stefanie, wszelkie mezalianse są zgubne (*spojrzał na Stefana i spostrzegł się, że głupstwo powiedział. Chwila*). Ale prawda, ja tu gadam i gadam... a zapomniałem (*szuka po kieszeniach i wyciąga papiery*) Oto są... jedyne papiery, jakie ocalały: świadectwo z konserwatorium... Patrz pan... (*podaje*) i to: stary dokument... z roku tysiąc ośmset któregoś... wydany mojemu dziadkowi... szlachcicowi Jerzemu Wojniczowski... (*z dumą*) Patrz pan, szlachcicowi... szlachcicowi Jerzemu Wojniczowski, który był muzykiem w wojsku, przy Napoleonie...



STEFAN (przygląda się).

Prawda, prawda.

WOJNICZEK.

Te dwa tylko dokumenty mi zostały... Zresztą, nawet paszportu nie mam. Córką miała paszport... a ja tak... przy córce... Stałe miejsce zamieszkania: knajpa... A w knajpie nie potrzeba meldunku!.. O, teraz trudno będzie odzwyczaić się od takiego życia... trudno. Dwa dni już nie piję!.. Ale mi ciężko... Coś tak opiera się, sprzeciwia we mnie... Bo to widzisz, mistrzuniu, założyć nową strunę łatwo, ale ją nastroić trudniej...

STEFAN.

To też trzeba się po trochu odzwyczajać (*ożywia się*). Po trochu. Wie pan, ja tu mam jakąś resztkę po koleżeńskej bibce, napijemy się po jednym (*wyjmuje z szafy*).

WOJNICZEK.

Ej, nie, mistrzuniu, nie.

STEFAN.

Ja bo z zasady nie pijam... a tak... czasami.

WOJNICZEK (*uśmiecha się*)

To taka melodia, mistrzuniu, że jak ją usłyszę, to nie powstrzymam się, a ja, widzisz, dałem sobie słowo... Dawniej nie dotrzymywałem sobie słowa, ale dziś... (*wpada chłopak od stróża pędem*).

CHŁOPAK.

Pszpana!

STEFAN.

Ostrożnie, bestyo! Cóż tam nowego?

CHŁOPAK.

Przyszedł ten starszy pan, co to był onegdaj, i idzie na górę (*umyka z powrotem*).

STEFAN (*zakłopotany*)

Panie Wojniczek... niech pan ze stryjem.

WOJNICZEK.

Ja?

STEFAN (*prosząco*)

Tak. Co panu to szkodzi? Dwa słowa: mnie niema w domu, niech stryj napisze, czego sobie życzy... mój panie...

WOJNICZEK.

Ale, panie Stefanie, jakże ja tak.

STEFAN.

Widzi pan... ja się nie chcę dziś ze stryjem widzieć... mój panie. Dwa słowa (*wybiega na lewo*).

WOJNICZEK

(*zakłopotany, sili się na spokój, zapina się, siada przy stoliku z lewej, spoglądając na stojącą przed nim butelkę wódki*)

PRZYSTAŃSKI (*wchodzi, podnosząc binokle do oczów*)

Kto to? Ach! Wojniczek. Voilà?!

WOJNICZEK (powstając)

Do usług.

PRZYSTAŃSKI.

Cóż to zabrakło szynków w Warszawie?

WOJNICZEK.

Dlaczego?

PRZYSTAŃSKI

Że pan tutaj przychodzisz raczyć się wódką! Takeście opanowali synowca mojego, że gospodarujecie, jak u siebie w domu! (*ciszej*) Hołota!

WOJNICZEK (pokornie, z wyrzutem)

Przykre słowo...

PRZYSTAŃSKI (strapiony, mniej butnie)

Nic nowego pan nie usłyszałeś. Z tą tylko różnicą, że tym razem nie opłacone.

WOJNICZEK.

To bardzo bolesne dla mnie, to, co pan mówi.

PRZYSTAŃSKI.

Niestety... prawdziwe.

WOJNICZEK

(po chwili. Wciąż pokornym i nieśmiałym głosem)

Pana Stefana niema w domu. Jeżeli pan sobie czego życzy...

PRZYSTAŃSKI.

Przyszedłem tutaj nie życzyć sobie, ale żądać...

WOJNICZEK.

Pan będzie łaskaw napisać na bileciku, ja doręczę...

PRZYSTAŃSKI.

Co?!

WOJNICZEK.

Ja doręczę panu Stefanowi.

PRZYSTAŃSKI.

Przyszedłem żądać od was — rozumiesz pan — żebyście się odczepili od mojego synowca!

WOJNICZEK.

Raczej synowiec pański mógłby to uczynić, i, jeśli zechce, niezawodnie to uczyni.

PRZYSTAŃSKI.

Co? Co takiego? Voilà!! Wódka mówi przez pana! Pan jesteś pijany!

WOJNICZEK.

Nie, proszę pana, od niedawnego czasu jestem trzeźwy.

PRZYSTAŃSKI (wskazuje na stół)

Widać to... (*po chwili*) Słuchaj pan: ja zapłacę. Ile chcecie?



WOJNICZEK (cicho, jakby żebrał litości)

Panie Przysański... niech pan tak nie mówi...  
Ja jestem bezsilny wobec pana... ja nie mogę nic  
odpowiedzieć na taką obelgę...

PRZYSTAŃSKI

(zawstydzony, tai popędlivość i nerwy, więc zaciska zęby, cedząc  
cierpko słowa)

Odkąd że to podobna propozycja stała się  
dla was obelgą? (*Chwila milczenia. Przysański  
raz w raz przygryza wargi, robi nerwowo rękami*)  
Voilà. Niestety z temi szaleństwami!.. (*zmie-  
nia ton*) Panie Wojniczku!

WOJNICZEK.

Słucham pana.

PRZYSTAŃSKI.

Usiądź pan, usiądź (*siadają*). Napij się pan  
kieliszek wódki.

WOJNICZEK.

Nie, proszę pana (*nalewa*). Voilà ..

PRZYSTAŃSKI.

Nie krępuj się pan.

WOJNICZEK (patrzy zdziwiony)

Nie... nie...

PRZYSTAŃSKI (*nalewa kieliszek, daje mu w rękę*)

No, pij pan. Co tam?

WOJNICZEK.

(bierze; ręce mu się trzęsą, upuszcza na ziemię kieliszek).

PRZYSTAŃSKI.

Wylało się?

WOJNICZEK (podnosi z ziemi, staje z boku).

PRZYSTAŃSKI.

Czemu pan nie siadasz, panie Wojniczek?  
Może cygaro?

WOJNICZEK.

Dziękuję.

PRZYSTAŃSKI (wskazuje mu miejsce)

Proszę. (*Wojniczek siada*). Panie Wojniczek, porozumiejmy się, weźmijmy się za ręce! Na honor, przeżyliśmy już kawał życia, znamy je dobrze, więc wiemy, co to są młodzieńcze zapaly. Pała się wielkim płomieniem, ale krótko. Mój synowiec i pańska córka tego nie rozumieją, ale my czuwajmy nad nimi. Jak zapaly miną, jak słomiany ogień zgaśnie, to z popiołów nie odbudują nowego życia. Mój synowiec będzie z czasem zamożny, wreszcie ma mnie za sobą — jego bieda nie sięgnie, ale twoja córka nie ma nic, prócz urody...

WOJNICZEK.

Tak... tak...

PRZYSTAŃSKI.

To też, panie Wojniczek, gdyby mój syno-

wiec chciał popełnić jakie szaleństwo (*waha się*)  
gdyby... powziął jaki niestosowny zamiar, np...  
gdyby chciał się żenić z pańską córką...

WOJNICZEK.

Pański synowiec, już powziął ten zamiar  
(*wstaje*).

PRZYSTAŃSKI (*jak rażony zrywa się z krzesła*)

Co?!! Co?!! (*gwałtownie*) To nieprawda!! Kto  
panu to mówił?! Córka?

WOJNICZEK (*jakby się tłumaczył*)

Pan Stefan...

PRZYSTAŃSKI.

Kiedy? On sam?.. sam to mówił?? To szaleństwo z jego strony... panu nie wolno korzystać z lekkomyślności mojego synowca... nie wolno!!  
Zwłaszcza... panu!!

STEFAN (*wybiega z pokoju wzburzony*)

A! tego już dosyć! Proszę stryja nie poma-  
wiać mnie o lekkomyślność. Ja powiedziałem to  
w uczciwych zamiarach.

PRZYSTAŃSKI.

Voilà... więc ty kryjesz się przedemną? Kto  
ma zamiary uczciwe, ten się nie kryje.

STEFAN.

Moje zamiary są uczciwe, ale ja, niestety,  
kryć się muszę z uczciwymi zamiarami.

PRZYSTAŃSKI.

Tak!? Rozmyślnie to powiedziałeś?!! (*chwila*)  
Więc ubliżasz mi! Albo jesteś niepoczytalny?!

STEFAN (*wskazuje oczami na Wojniczka*)

Stryju... nie jesteśmy sami...

PRZYSTAŃSKI.

A więc... ten pan niech wyjdzie.

WOJNICZEK

(*gotów jest wyjść. Stefan go powstrzymuje. Chwila naprężenia.*)

PRZYSTAŃSKI

Zatrzymujesz go?! (*oddycha nerwowo, siląc się na spokój. Drży cały*). Stefan... ostrzegam cię... zaczynasz grę ryzykowną. Ja mam w ręku takie karty, że wygram. On sam pojmuje nieostrożność swojej pozycji pomiędzy nami, i chce się usunąć. A ty go nie puszczasz. Zastanów się, co robisz. (*Chwila*) Ty się nie możesz ożenić z jego córką—nie możesz!

STEFAN (*zacięto*)

Dlaczego?

PRZYSTAŃSKI.

Bo to by był straszny policzek dla mnie. Bezlitosny, niezasłużony policzek! Czy ty tego nie rozumiesz?



STEFAN.

Nie, proszę stryja, ja w tem nie widzę żadnego policzka...

PRZYSTAŃSKI.

A więc ty nie znasz jej przeszłości...

STEFAN (gorzko i sarkastycznie)

O, znam aż nadto dobrze...

PRZYSTAŃSKI.

I wiesz wszystko? Wszystko? (*patrzy na Stefana i na Wojniczkę*).

STEFAN.

Wszystko...

PRZYSTAŃSKI.

Wszy...stko? (*pauza*).

STEFAN.

Tak (*pauza*).

WOJNICZEK.

Nie, panie Stefanie, pan nie wie wszystkiego. Pan nie wie, że ja... przez półtora roku... siedziałem... Tak... gdyby nie stryj pański, ja byłbym dziś może gdzie dalej jeszcze... bo ja... sfałszowałem podpis tego... pana... tego...

PRZYSTAŃSKI.

Słyszysz... słyszysz? Opamiętaj się teraz.

WOJNICZEK.

Tak, panie Stefanie, to ja winien jestem wszystkiemu. Tylko ja! (*Chwila. Przystański sądzi, że tryumfuje. Wojniczek pochylił się smutnie.*)

STEFAN (z wyrazem głębokiego oburzenia)

O tem ja nic nie wiedziałem... ja nie przypuszczałem nic podobnego... (*zawahał się*) ja nie przypuszczałem.

WOJNICZEK.

On bywał często, przyjeżdżał... przywoził prezenty... namówili mnie.. podpisałem (*macha ręką*).

STEFAN (z wyrazem jeszcze głębszego oburzenia)

Stryju... to było nikczemnością ze strony tego pana, korzystać z nieszczęścia!.. To było nikczemnością!..

PRYZSTAŃSKI.

Przesadzasz. On ją kochał. Ja na to patrzyłem, jak było. Oboje jednakowo są winni...

STEFAN.

Stryju... twoim obowiązkiem było zapobiedz temu... tyś mógł, więc tyś powinien był to zrobić.

PRYZSTAŃSKI.

Co? Co?

STEFAN.

Tak... tyś powinien był zapobiedz temu, stryju.

PRZYSTAŃSKI.

Oszalałeś?!!

STEFAN.

Nie... nie... ja myślę rozumnie.

PRZYSTAŃSKI (bezsilnie—niemal błaga)

Chłopcze... chłopcze... co robisz... co robisz?  
(*Chwila. Przystański przenosi wzrok błagalny na Wojniczka. Ten odczuwa boleść Przystańskiego, zabiera się do odejścia.*)

STEFAN.

Nie! (*zatrzymuje Wojniczka*).

PRZYSTAŃSKI.

Tak!.. Stanowczo, z całą rozwagą zatrzymujesz jego... a mnie wypędzasz?

STEFAN (skruszony, okazuje chęć tłumaczenia się)

PRZYSTAŃSKI.

Nie... nie słucham cię teraz. Odchodzę. Ale wiedz, że chociaż ty uparcie usiłujesz zerwać wszelkie nici, wiążące mnie z tobą, ja jednak będę zawsze blisko ciebie, bo nie tracę nadziei, że się przecież opamiętasz! (*kiwa mu głową i odchodzi wzburzony. Chwila ciszy. Długa pauza.*)

STEFAN (po chwili otrząsa się, głośno, stanowczo mówi:)

Panie Wojniczek, idziemy.

WOJNICZEK.

I...dzie...my??

STEFAN.

Zapomniał pan? Przecież mieliśmy iść do...

*(Wchodzi Helena).*

HELENA.

Wychodzicie? Kiedy ty wrócisz, Stefan? Umówiłeś się o tej godzinie, a teraz wychodzisz? Ładne poszanowanie... nie ma co mówić!

STEFAN.

Przepraszam cię. Poczekaj... ja nie długo wrócę. *(Helenie błysnęła myśl, jest zadowolona z tego, że Stefan wychodzi. Spostrzegła sztalugi z portretem nieusunięte).*

HELENA.

Dobrze. Wracaj prędko. *(Czule patrzy mu w oczy, jakby chcąc wynagrodzić uplanowaną przykrość).*

STEFAN (ożywiony)

Masz mi co do powiedzenia?

HELENA.

Nic.. tylko tak... pogawędzimy... Ja mam dziś wolny wieczór...

STEFAN.

To doskonale! Wrócę za kwadrans. Chodź



my, panie Wojniczek (*idą*). Do widzenia, Heluś. Za kwadrans, za dziesięć minut będę z powrotem (*wyszli*).

HELENA

(po jego odejściu rozgląda się po pokoju, szuka oczami portretu. Znajduje go, podbiega i odślania).

Teraz ciebie, póki czas! Tylko dziesięć minut... (*miłośnie*) Ty, ty... morderco, łotrze, uwodzicielu! Żenisz się... a o mnie pomyślisz, co? Pomyślisz o swojej Heli, o szampańskiej Heli?.. Mów!.. Ty!.. Och, jakie ty masz brzydkie oczy, złe oczy, ironiczne... On ci takie zrobił, ale ty, i tak jesteś śliczny... Śliczny! Jurek... Jura... Jerzy! Nie mówisz?! Nie mówisz?! (*opiera się jedną ręką o sztalugę, na ręce składa głowę*). Złóżę ci tak głowę, a ty mi patrz w oczy i pieść mnie... gładź mnie po włosach... po twarzy.. i całuj mnie tak rozkosznie, tak miękko, tak kochająco... Jerzy... Jerzy! (*Przymyka oczy i tak zostaje chwilę. W przedpokoju ukazuje się Bolesław. Chwilę rozmawiał z chłopakiem, potem wchodzi i spostrzegłszy Helenę, zatrzymał się przy drzwiach. Uśmiecha się chytrze. Przybierając namiętny wyraz twarzy, podbiega do Heleny, pochyla się nad nią i przykłada usta do jej ust*).

HELENA

(wznosi się nieco w górę, całując Bolesława i, szepcząc):

Jerzy! Jerzy! (*nagle budzi się z zapomnienia*) Ach! Kto to? (*przeciera oczy*) To pan? (*chwytając go za rękę*) Panie Bolesławie, ani słowa o tem

Stefanowi... na miłość Boską... ani słowa! (*chce wyrwać rękę. Bolesław nie puszcza*). No! niech pan puści, panie Bolesławie... niech pan puści!

BOLESŁAW (*namiętnie*).

Ja nie mogę... nie mogę... muszę... pani Heleno... jeszcze chwilkę... ja skonam, jeśli mi pani nie pozwoli jeszcze raz...

HELENA (*zła, wyrzywa mu się*).

Nie!! (*Chwila. Bolesław wzburzony chodzi po pokoju. Helenie wraca spokój — obraca wszystko w żart*). Niepoprawny człowiek z pana. Ej!

BOLESŁAW (*chodzi po pokoju*)

To moje nieszczęście, moja choroba. Takim już umrę.

HELENA.

Trzeba się hamować!

BOLESŁAW.

Niepodobna, pani. To jest silniejsze.

HELENA (*grozi mu palcem*)

Oj!

BOLESŁAW (*uśmiecha się*).

To już taka „febris amorosi voluptatis.“

HELENA (*rozbrojona jego żartem*).

Niech pan zamknie twarz. Bo jak nie, to

będę musiała zawołać posłańca, żeby pana odpro-  
wadził do domu.

BOLESŁAW.

Bajecznie się pani nauczyła mówić. Wcale  
panią nie czuć salonowym zapaszkiem.

HELENA.

Za to pana czuć bardzo czarną kawą.

BOLESŁAW.

Bo u mnie, proszę pani, wszystko na czarno.  
Krawat czarny, myśli czarne...

HELENA.

Serce czarne...

BOLESŁAW.

O, pardon, serca nie mam wcale: za biedny  
jestem na taki drogi statek. Ale za to charakter  
mam czarny i... kieszeń czarną. To jedno, co  
mnie smutkiem napawa. Bryndza, proszę pani.  
Moja miłość cierpi stale na katar żołądka z po-  
wodu złego odżywiania się.

HELENA.

A cóż ma bieda do miłości?

BOLESŁAW.

Zaraz znać, że się pani nie uczyła ekonomii  
politycznej. To jest przecież kwestya zasadnicza.  
Ludzie tem więcej się kochają, im są bogatsi

Tak było z dawien dawna, a dziś, przy powszechnej drożyznie i miłość bajecznie podrożała. Powiadam pani: zaczyna być tak źle, że jeśli tak dalej pójdzie, to przyjdzie się chyba... ożenić!

HELENA.

Alboż to co strasznego?

BOLESŁAW.

Pani się pyta? Pani... przedstawicielka rodu wolnych... niespełnionych?! Czy pani zdawała sobie kiedy sprawę z tego, co to jest małżeństwo?

HELENA.

Zdawałam... (*poważnie*) I nawet doszłam do wniosku, że nie każdy jest godzien dostąpić tego dobrodziejstwa.

BOLESŁAW.

Dobrodziejstwa?! Nie źle się dzieć zaczyna w naszej krainie: stare bogi się walą, natomiast przychodzą nowe bożyszcza, jeszcze starsze od dawnych. Czy pani była kiedykolwiek na wsi?

HELENA.

Byłam.

BOLESŁAW.

Widziała pani spętane konie, albo krowy?

HELENA.

Widziałam.



BOLESŁAW.

Wypuszczono je na przydeptaną trawę i przywiązano do słupka, koło którego muszą się kręcić. Opodal mieni się cudownymi barwami kobierzec łąki, wiaterek przynosi ztamtąd rozkoszne podniecające wonie. Ale ty, biedny koniu, kręć się dokoła, jedz przygryzioną trawę, a w stronę łąki nie spoglądaj, bo tam wbity jest wiecheć, który broni ci wstępu. Oto jest małżeństwo. Dep-tak po przygryzionej trawie z cudownym widokiem na rozkoszne dreszcze. Brrrr! to głupia melodya, jak mówi ojciec pani.

HELENA.

Pan by chciał brykać po wszystkich łąkach, co?

BOLESŁAW.

Młodość jest tak krótka! Carpe diem! Nie marnuj czasu, człowiecze młody, albowiem nie wiesz dnia ani godziny, w której cię okulbaczą! To moja zasada. Kocham się we wszystkich kobietach i w żadnej. Za niektórymi, jak np. za panią, szaleję!

HELENA.

Panie Bolesławie!

BOLESŁAW.

Bez żartów. Kochać bym pani nie umiał, ale szaleję za panią. Pani nie wie, co to są za męczarnie szaleć za kimś, pożądać go całą siłą

swej namiętności, a być zmuszonym poprzestać na rozmowie z nim... o miłości, albo o małżeństwie. To są męki, stokroć gorsze od mąk Tan-tala.

HELENA (wzburzona).

Wstrętni jesteście wy wszyscy z tą brutalną namiętnością! Wszyscy dążycie po utartej drodze uwodzenia i, jeśli wam szczęście sprzyja, staje się szubrawcami!

BOLESŁAW.

Po co się pani tak gniewa, kiedy pani ma najśluszną rację? Faktem jest, że mężczyzna, będąc kochanym, staje się szubrawcem, ale faktem jest również, że ażeby być kochanym, musi wprzód być... łotrem! Herostratesi, proszę pani, i Ahasverusy mają więcej szczęścia u kobiet, niż Katonowie! Odważny podpalacz, lub bohaterski korsarz, ma większe szanse posiadania pięknej kobiety, niż rozumny i pracowity wół roboczy, mogący zapewnić trwale i spokojne szczęście.

HELENA (jeszcze bardziej podrażniona)

Nie! Nieprawda! Nie wszystkie kobiety są takie! Nie wszystkie!

BOLESŁAW (żartobliwie)

Przepraszam panią, jeśli ja pani wszedłem na nóżkę, to ja zejść natychmiast. Nie mam zamiaru marnować sił i zdrowia na dysputy o... ko-

bietach! Do widzenia pani. (*kłania się i idzie do drzwi*) Memento mori.

STEFAN (*spotyka się z nim przy drzwiach. Wesoło*)

Śmierć — głupstwo! Umrzeć byle dureń potrafi... Życ, bracie, to większa sztuka!

BOLESŁAW.

A jeszcze większa żyć do samej śmierci.

STEFAN.

W łeb niech sobie strzelają tacy, jak ty! Ja wolę wziąć za łeb życie.

BOLESŁAW.

I zginiesz jeszcze prędzej odemnie. Ty jesteś szczęściarz pod każdym względem, to też z pewnością wcześniej odemnie... palniesz sobie w łeb!

HELENA (*pod adresem Bolesława*)

Niemądre gadanie!

BOLESŁAW (*śmieje się*)

Upewniam pana, że pan sobie palniesz w łeb! O, już panu jedna warga opadła na dół. A przysięgam, jakem wszedł tutaj... przestąpiła mi drogę katarynka, zwyczajna katarynka. O, słyszysz pan, gra gdzieś niedaleko... Takiego zabójczego walcika, co tak ciągle w koło, ciągle w koło...

STEFAN (*śmieje się*)

Nic nie słyszę...

BOLESŁAW.

Ale ja słyszę. To znak niezawodny, że jeden z nas palnie sobie w łeb. Mnie się zdaje, że... pan. Memento mori! (*wychodzi*).

HELENA (*po jego wyjściu*)

Idyota!

STEFAN.

Licho wie, co on chciał przez to powiedzieć! Katarynka mu gra! Ha, ha, ha!.. (*po chwili*) Zmar-twiłaś się tem, Heluś? Co?

HELENA (*sili się na spokój*)

Nie! (*macha ręką*).

STEFAN

Tak. Nie można zwracać uwagi na jego gadaniny! Każdy ma swego „fijoła.“ Bohdan... gimnastykę, ja... malarstwo, a on... dekadencję. To nieszkodliwe! (*Chwila. W pokoju nastrój półzmroku. Stefan spostrzega portret niedokładnie osłonięty. Pospiesznie go zakrywa i opina*).

HELENA.

Oglądał obrazy.

STEFAN.

Kto?

HELENA.

No... ten... Bolek.



STEFAN.

Ach, on... (*zasłania obraz i usuwa go w kąt. Chwila*). Zdaje mi się, że gdzieś gra katarynka? Nie słyszysz?

HELENA.

Nie.

STEFAN.

Dziwny jest ten Bolek...

HELENA (*wybuch*)

Proszę cię, Stefan, żebyś go nigdy u nas nie przyjmował. Nigdy!

STEFAN (*ucieszony*)

U nas... nigdy? U nas? Dobrze.

HELENA.

Tak. Ja cię proszę.

STEFAN.

Dobrze, moja droga.

HELENA (*coraz więcej wzburzona*)

Źle wychowany, zarozumiały, zepsuty, żadnych związków nie uznaje: ani miłości, ani przyjaźni, ani małżeństwa!..

STEFAN.

Ani małżeństwa?

HELENA.

Tak. (*Chwila*).

STEFAN.

On, dziwny jest. Tylko, że ma czasem takie trafne porównania. Naprzykład: z tą melodyą katarynki ciągle w koło, i palnięciem sobie w łeb. To jest bardzo trafne.

HELENA.

I głupie zarazem! Wszystko, cokolwiekbądź wygłasza, jest głupie i oklepane. Np. to, że kobiety tylko łotrów kochać umieją.

STEFAN.

A jeśli to jest słuszne?

HELENA.

Co? I ty tego samego jesteś zdania?

STEFAN.

Ja... nie. Ale powiadają, że tak jest.

HELENA (*znów wpada w rozdrażnienie*)

Bo wyście temu winni, że tak jest. Jeśli który z was kocha kobietę, to po łotrowsku. Jesteście tacy brutalni w postępowaniu z nami, tacy bezwzględni, lekceważący i samolubni! W kobiecie cenicie tylko zdolności miłosne; przywiązanie i duszę odrzucacie zupełnie. Wszyscy, wszyscy...

STEFAN.

Hela!... Hela!...

HELENA.

Więc powiedz mi, powiedz, czy między wami znajdzie się chociaż jeden, któryby kobietę pokochał dla jej uczciwości względem niego, choćby ta kobieta nie mogła mu już ofiarować „czystego uczucia.“ Czy znajdzie się jeden, który by nie spytał przedewszystkiem... „czy umiesz kochać“? „czy będziesz mnie tak kochała, jak nie kochałaś dotąd nikogo?“

STEFAN.

Hela!.. Hela!... (*Chwila. Ona spogląda mu w oczy pytająco*). Tak mówisz... tak mówisz... jakbyś mnie nie znała.

HELENA.

Ty... ty?.. Prawda!... Ty jesteś zupełnie inny od nich wszystkich... zupełnie inny... prawda! (*Bierze go za rękę i patrzy mu ciepło w oczy*).

STEFAN

(*jakby oczekiwał, że Helena rzuci mu się na szyję*)

Tak, tak, Hela!

HELENA.

Ty, Stefa, musiałeś mieć dobrą, bardzo dobrą i kochającą matkę?

STEFAN.

O tak, moja matka była dobrą, anielską kobietą. Ale wcześniej umarła.

I moja wcześniej umarła. Była dobrą, bardzo dobrą, ale nie miała inteligencji. Była uczciwą i nabożną. Utrzymywała zawsze, że ludzie są dobrzy, że Pan Bóg czuwa nad światem i nie daje ludziom ginąć. To mi tylko po niej zostało, że nauczyła mnie modlitwy. Wiara w Boga przetrwała we mnie, ale wiara w ludzi zginęła wraz z uczciwością... Przechodziłam smutne koleje losu, a mój ojciec jeszcze smutniejsze... Oboje byliśmy bardzo biedni, choć przez długi czas żyliśmy w dostatku... A jaki to był dostatek... (*wstrząsa się*) Straszny!.. Gdyby moja matka nieboszczka żyła, i zobaczyła mnie w takim dostatku!.. Boże!.. Ale, i ja gorzko płakałam nad swoją dołą... Z początku mniej, bo kochałam, i byłam kochaną, ale potem... (*wzdryga się*) potem!.. Śmiałam się nieraz, śmiałam do rozpuku, a oczy miałam pełne łez... takich smutnych łez... Nieraz przy modlitwie, a modliłam się coraz rzadziej, pytałam siebie: „czem się to wszystko skończy? i kiedy się skończy?“ Nie wierzyłam w uśmiech fortuny, bo naokół szeptano mi: nie łudź się... korzystaj z losu i... nie łudź się... I sam ojciec... biedny ojciec powtarzał mi również: nie łudź się... zgubisz tego, kto ci rękę poda... Słusznie mówili... słusznie...

STEFAN.

Jakto, Hela... podług ciebie... podług ciebie... słusznie? Więc ty..



HELENA.

Co?

STEFAN.

Więc ty... ty... nie chcesz? Ty odrzucasz?

HELENA.

Ja... ja nie odrzucam, ja tylko mówię, że ten, ktoby mi rękę podał, ten człowiek byłby zgubiony!

STEFAN (gorąco)

Nieprawda! To jest stary, utarty aforyzm! Kto młody, ten powinien próbować nowych, niewydeptanych dróg! Przedsięwziąć ideę i wykonać ją! Ideę nowego życia, zdala od opinii świata—słowem, ideę nowego, własnego... jutra!

HELENA.

Ale czyby ten człowiek... zdołał tego... dokonać?

STEFAN.

Młodość... dobre chęci... wiara w siebie... czy to nie dosyć? Co do mnie, poszedłbym na takie życie śmiało i z zadowoleniem! Co mi świat! Rodzina? Opinię da mi czyste sumienie. Rodzina, która mnie nie zechce uznać, przestanie być dla mnie rodziną. A wreszcie, źle mi tutaj, szukam szczęścia gdzieindziej. Miejsca tyle na świecie! I tyle pracy!

HELENA.

Co?... ty... ty... Stefa... ty?

STEFAN.

Tak... tak! Ja... ja poszedłbym na takie życie... ja pójdę... na takie życie! (*chwytą Helenę za rękę*) Słuchaj, Hela, gdyby nam było źle tutaj, wyniesiemy się do Krakowa, do Lwowa — gdziekolwiek bądź, byle razem! Jedna myśl, jedne chęci... jedne zapęły... przecież nie zginiemy!!

HELENA

(*słuchała słów Stefana z uwielbieniem*)

Stefa! Wielki... szlachetny Stefa!!!! (*wybuchą gorącym serdecznym płaczem*).

Zasłona.

Koniec aktu drugiego.

## AKT III-ci.

---

*(Pokój ten sam, czysto umieciony i uprzątnięty. Na widocznem miejscu obraz, wykonńczony zupełnie. Odświętny nastrój panuje w pracowni młodego malarza; nastrój ten zaznacza się również na twarzach zebranych: Heleny, Bohdana, Wojniczka i Stefana. Popołudnie, godzina 6—7—8 dnia niedzielnego. Stefan wyprawia „bibę.“ Buteleczka z wódką jeszcze zakorkowana, także butelki z piwem, maszynka od kawy jeszcze zimna, ale w powietrzu unosi się już woń gorących uczuć, wezbranych serc, podnieconych myśli. Stefan jest duszą, i zarazem reżyserem uroczystości. Nie wznosi wprowadzie kieliszka do góry, ale z rozplómieniem obliczem przemawia. Wpatrzeni w niego Wojniczek, Bohdan i Helena, słuchają).*

### STEFAN

*(swobodnie, z pewną fantazyą zasiadł na komodzie, ztamtąd przemawia pełnemi zapału słowy):*

Trzeba tylko chcieć! Ot, powiedzieć sobie: dokonam tego a tego. Naturalnie, rodzą się przesz-

kody: ludzie, rzeczy, wypadki i t. d. Usuwać je... łamać, przeskakiwać, jeśli się złamać nie dają. — Słowem, piąć się, aż do szczytu! A skoro się już stanie na przedostatnim szczebelku, że tylko krok uczynić na wierzchołek, zawołać: „vici.“ Wspomnieć o wszystkich, z którymi się walczyło, i wyjednać w sobie przebaczenie! (*coś, jakby go zaszępiło*). Mam dziwną harmonię, spokój i dumę w sobie — coś, czego nie doświadczałem nigdy. Kto wie, może właśnie nadeszła dla mnie ta upragniona chwila, w której mogę powiedzieć sobie: eureka! Znalazłem ideę życia!! (*Chwila. Stefan zeskaakuje z komody*).

WOJNICZEK (smętnie)

Tej słicznej piosence na imię: młodość.

STEFAN.

Niech jej będzie: młodość. Zaśpiewajmy ją chórem; niech nam się zdaje, że wszyscy w jednym wieku jesteśmy! Hela!.. Bohdziu! Nie siedzcież tacy zadumani. Hela! smutno ci czego?

HELENA

(wciąż zapatrzona w dal, jakby to zadowolenie, którem tak szczyci się Stefan, nie było jej udziałem. W oczach łagodny, rzewny smutek)

Tak ślicznie mówiłeś... zasłuchiwałam się... ja ogromnie lubię, jak ktoś tak pięknie mówi... z takim zapalem. To jest takie szczytne, takie wielkie... i takie niedoścignione... (*zasmuciła się, opuściwszy głowę. Po chwili*) Mów jeszcze... mów...



STEFAN (żywo)

E, cóż znowu! Moja droga pani... ja tu nie jestem od „mówienia.“ Czekajcie: za chwilę powinien przyjść Bolek; on nam będzie mówił.

HELENA (zaciekawiona)

Przyjdzie?

STEFAN.

Sądzę, że powinien.

HELENA.

Pisałeś do niego?

STEFAN.

Ba, jeszcze jak! *(na stronę do Bohdana i Heleny, mrugając znacząco)* To jest pierwszy z tych, do których wyciągam dłoń zgody... Ale, ale, Bohdziu, przecież tyś powinien wiedzieć o nim.

BOHDAN.

Nie wiem... dureń! Nie mógł ja dłużej żyć z takim... wyprowadził się.

STEFAN.

Ale, moi drodzy, nie mogę się jakoś dowiedzieć o moim obrazie. Mówcie szczerze. Wyszły te postacie... czy nie? Co ojczulek rzeknie? Ojciec chyba nigdy nie przyjrzał się pilnie naszej pracy.

WOJNICZEK (jowialnie)

Waszej?

STEFAN.

Tak... naszej: mojej i Heleny. Ja dałem pracę rąk... ona tchnęła ducha. Prawda, jest i trzeci akcyonaryusz: skromny Bohdan Aloizy, dwojga imion, Dzierżykraj.

BOHDAN.

Ta, dolicz chłopaka; będzie czwórka...

WOJNICZEK.

Kwartecik—dobra rzecz.

STEFAN.

Ale cóż? Co ojciec mówi? Jakże się podoba?.. Jutro ma go oglądać grono augurów, niechże go dziś „osądzą“ moi ludzie. Ojciec pierwszy.

WOJNICZEK.

To nie moja partya... malarstwo.

STEFAN.

Więc poprostu: wrażenie?

WOJNICZEK.

Hm... ładna opera, mistrzuniu, ładna... Dekoracyjka efektowna, oświetlenie rześiste, para solistów dorodna. Piękna muzyczka... piękna!

STEFAN.

Ho, ho, z ojczulka smakosz, znawca!

WOJNICZEK.

Zaczynam zbierać porozrzucane nuty... zapomniane motywy... coś się tam kleci pomalutku... Czekaście, zagram wam właśnie piosenkę, którą specjalnie na dzisiejsze wasze zaręczyny skomponowałem.

HELENA (do ojca)

Zaraz, zaraz. Nie w tej chwili. Mój Stefku zasłoń obraz.

STEFAN.

Dlaczego?

HELENA.

Bolek może nadejść, ja nie chcę, żeby on kpił z tego obrazu.

STEFAN (opuszcza zasłonę)

Ale, ale, słuchajcie. Jak Bolek wejdzie, roześmiejmy się chórem!

HELENA.

Stefa jest wesoły... naprawdę wesoły.

STEFAN.

Dawniej ja zawsze byłem wesoły...

HELENA.

Tak? A ja już dawno.. bardzo dawno... nie byłam wesoła (*wspomnienie—smutnieje. Pukanie. We drzwiach staje Bolesław, wyświeżony, ubrany na czarno. Głośny śmiech—wszyscy się śmieją*).

BOLESŁAW.

Memento mori! (*śmieją się. Bolesław udaje święte oburzenie*). O, tempora... o mores! Co za cynizm... śmiechy na... pogrzebie!.. (*blaznuje*).

STEFAN.

No, kto palnie sobie w łeb?

BOLESŁAW

(*udaje „przesmutnego.”* Robi ruch mówcy, który staje przed zgromadzonymi).

Żałobni słuchacze! Oto znów stajemy nad świeżą mogiłą. Wesolej pamięci Stefan Przysiański, wnuk nieboszczyka... dziadka swojego, do niedawna jeszcze chluba, subtelnej rasy nerwowców, dziś spoczywa na marach niepodległego, wolnego żywota... Zaraźliwa choroba, na którą weterynaryja współczesna napróżno usiłuje znaleźć remedium, wyrwała go z naszych szeregów w pełni sił i żywotności... Było to zwierzę ludzkie, obdarzone licznymi talenty, a chociaż szare mydło filisterskiego żywota splamiło niejednokrotnie jego modernistyczną jaźń duchową, ostawał zawsze wiernym sługą plująco-gwiżdżającej bandy... O tyle zacny, o ile oryginalny, o tyle czysty, o ile za-  
możny, o tyleż dobrze wychowany, o ile postępowy—był najznakomitszym mydlarzem pomiędzy modernistami, i najznakomitszym modernistą pomiędzy mydlarzami... Wieczne wypoczywanie jego wolności młodzieńczej... Niech mu żona lekka będzie! (*Wybuch śmiechu. Wojniczek się aż popłakał*).



STEFAN.

Dowcip jest, bo był.

WOJNICZEK.

Bodaj to mieć taki instrumencik w ustach!..

HELENA.

Powinnam się na pana gniewać, ale z woli Stefana odpuszczam panu wszystkie grzechy względem mnie popełnione.

BOLESŁAW.

Słusznie, słusznie... przed śmiercią trzeba się z największym nieprzyjacielem pogodzić.

HELENA (robi obrażoną)

Chciałam dać panu rękę do pocałowania, ale kiedy pan głupstwa mówi, to nie dam.

BOLESŁAW.

Dziękuję pokornie. Nigdy nie biore tego, co mi dają.

HELENA.

Więc nie chcesz mnie pan pocałować w rękę?

BOLESŁAW.

W rękę? Phii... a cóż to wielkiego ręka? Chwała Bogu, człowiek wyszedł już z tych lat, kiedy tylko ręce całował..

HELENA.

Nic pan nie dostanie i kwita.

BOLESŁAW.

O, widzę to... widzę... nawet kieliszków do wódki nie ma... kawa czarna się nie gotuje... jakieś tam mydlarskie wędliny pewnie przygotowane, i trochę piwa! Wstydźcie się państwo! Ja biegnę do was z całą serdecznością, z całem zaparciem się apetytu... rzucam dwie randki—jedną na Solcu, drugą na Elektoralnej—a tutaj co? Wódka zakorkowana... wszyscy trzeźwi — i to się nazywa stypa pogrzebowa?!

HELENA.

Tak, tak. Ja chcę, żeby tak zawsze było. Prosiłam o to Stefana, żeby dzisiejsze nasze zaręczyny nie zaczynały się od wódki!

BOLESŁAW.

No, to powiedzcie mi państwo, o której godzinie się skończą. To ja wrócę...

HELENA.

Może pan sobie iść i nie wracać wcale...

BOLESŁAW.

Kto wie, czy tego pierwszego nie zrobię. Ale wrócić... wrócę. O, nie daruję.

STEFAN.

Uważasz, Bolek, cała ta dzisiejsza uroczystość, to jest sobie taki maleńki przedpokoik lej: „vita nuora,” jaką niezadługo otworzymy w tym

naszym „starym światku...” Mnie to nęci, mnie to bajecznie nęci!.. Bylebym miał czyste sumienie...

BOLESŁAW.

Kup sobie kalosze...

STEFAN (ciekawie)

No?...

BOLESŁAW.

W tym pocziwym starym światku kalosze wystarczają za sumienie. Kto posiada kalosze, ten ma prawo wejścia do każdego zacnego domu... „ergo“ ten jest człowiekiem porządnym.

STEFAN.

Kto nie ma zamiaru chodzić po błotku życiowym, co temu po kaloszach? A my spróbujemy omijać kałuże. To jest interesujące: iść przez życie, gdzie wieczna szaruga, i nie chlapnąć w błoto.

BOLESŁAW.

To jest pomysł artystyczny, ale nie na moje kruche zdrowie. Uchylam czoła przed twoją dobrą wolą i przed bicepsami Alojzego Bohdana, dwojga imion, co do mnie jednak... wstrzemięźliwość zapiszę w testamencie moim spadkobiercom, aby za moje grzechy cierpieli karę doczesną.

BOHDAN.

Ta, ja pana już prosił, żebyś pan zechciał nie dotykać mojej osoby.

BOLESŁAW.

Przepraszam, ja myślałem, że pan już odrobił swoją porcyę gimnastyki. Jeżeli nie—nie krępuj się pan. Wyjmij hantle z kieszonki od kamizelki i pogimnastykuj się.

STEFAN.

No, no, Bolek, daj pokój Bohdanowi.

BOLESŁAW.

Ja mu mogę dać nawet dwa pokoje z przedpokojem i kuchnią! (*Wojniczek i Stefan śmieją się*).

BOHDAN.

Taki, co się spierać? Niech gada. Tyle tego, co wyplecie. Baję, baję, będziesz w raju.

BOLESŁAW.

Gimnastykuj się—będziesz w cyrku.

HELENA.

Mój panie, co pan cierpi do pana Bohdana?

BOLESŁAW.

Nic. Ja go bardzo szanuję. To jest najzaciejsze zwierzę w ludzkiej zoologii. Szkoda tylko, że się o jakie 200 czy 300 lat zapóźno urodził. Dzisiaj wygląda, jak starodawny omnibus z placu Bankowego na Pragę...

HELENA (*powstrzymując się od śmiechu*)

No, no... dosyć już: jestem oburzona...



BOLESŁAW.

Obu...żona?

HELENA.

Już pan coś znalazł?.. Powiedziałam, że jestem oburzona.

BOLESŁAW.

Słyszałem, i to mnie bardzo zastanawia. Pani nie powinna być „obu żoną.“ Chyba, jeżeli tym drugim będę ja. (*Nowy wybuch śmiechu. Nawet Bohdan się roześmiał. Nastroj wesołości wciąż rośnie*).

WOJNICZEK.

Z pana dyrygent nielada: każdziutki fałsz zaraz pochwyci i..

STEFAN (zbliżywszy się do Bolka)

Słuchaj, Bolek, jesteś dzisiaj w natchnieniu; kropnij nam jeszcze jaką mówkę. Coś wesołego.

BOLESŁAW.

A dostanę co za to?

STEFAN.

Dostaniesz.

HELENA.

Tylko bez tłustych przypraw i bez zbytnich złośliwości.

BOLESŁAW.

O, bynajmniej. W tłuszcz, jak pani widzi,

nie obfituję, a co do złośliwości, to mam jej za-  
ledwo tyle, ile potrzeba, aby zasłużyć na miano  
„dobrodusznego“ (*śmiech. Bolesław chrząka*) Hm...  
Ludzie, kobiety i dzieci! Czwartego... nie, piąte-  
go dnia stworzył Pan Bóg... małpę... (*spogląda  
rozmyślnie na Bohdana, ten odwraca się oburzony*).

STEFAN.

No, mów dalej!

BOLESŁAW.

Kiedy nie mogę. Bohdan udaje domyslnego  
i bierze to do siebie... (*wybuch śmiechu*).

STEFAN (*podaje mu kieliszek*)

To ci się udało. Bravo! Prosi!

BOLESŁAW.

Nie, nie... Ja nie wiem, czy ja mam prawo,  
czy obecna tutaj... pani obu...żona... przepraszam:  
uniżona... pozwala, iżby...

WOJNICZEK.

Pozwala! Pozwala!

STEFAN

(*łagodzi wystąpienie niezręczne Wojniczka*)

Bohdziu, zbliż no się do bufetu!

BOLESŁAW.

Oto nadeszła chwila, w której, że tak rzeke,  
wypada nam wypić po kieliszku wódki. Donio-

słość chwili jest tak wielka, że przewyższa kilkakroć zawartość kieliszka, przeto na pokrzepienie serc waszych dodam, iż wypijemy jeszcze po kilka, a potem...

STEFAN.

...przyjdzie kawa i likiery (*śmiech ogólny*).

BOLESŁAW.

Przyjdą naprawdę? Bravo! Bravo!.. (*gwar weselości. Wpada chłopiec*).

CHŁOPAK (*tajemniczo*)

Pszpana!

STEFAN (*stawia kieliszek*)

Przepraszam was, na momencik. Co powiesz? Oddałeś?

CHŁOPAK (*cieszy się*)

Fajgiel jest! (*chucha w łapę*) Oddałem... i pan kazał powiedzieć, że będzie u pana, może zaraz. Pytał się, czy pan w domu — powiedziałem: tak.

STEFAN (*niezadowolony*)

A, niech cię!.. Trzeba przecież było... Zresztą wszystko jedno. Możesz już iść... Tylko, słuchajno... jak będzie szedł, to wpadnij do mnie.

CHŁOPAK.

Sie wi! (*umyka*).

HELENA.

Co tam nowego?

STEFAN.

Nic, nic... (*uśmiecha się*) Sprawa nieco głupia. Muszę prosić was o przerwanie mile zaczętej uciechy...

BOLESŁAW (*stawia kieliszek*)

Ładny kwiat: co przy ustach, to nie twoje.

STEFAN.

Na miłość Boską, nie obrażcie się na mnie. Ale widzicie, to jest związane z moją ideą, więc chciejcie mnie mieć za wytłomaczonego.

BOLESŁAW.

Spróbujmy.

STEFAN.

Ja się załatwię szybko, za pół godziny wracajcie—dokończymy przerywanej biby...

BOLESŁAW.

Zacniemy—chciałeś powiedzieć.

STEFAN.

Niech będzie: zacniemy.

BOHDAN.

Ta, pójdziemy my może teraz z panem Wojniczkiem do tego... wiesz... przy niedzieli, to go złapiem w domu.

STEFAN.

Bajeczna myśl. Tak. Doskonale. Idźcie z pa-



nem Wojniczkiem do Karskiego. Zastaniecie go napewno.

BOHDAN.

Zrobione. (*Bohdan i Wojniczek wychodzą*).

STEFAN (*widząc, że i Helena zabiera się do odejścia*)

Hela, ty nie odchodź. Po co? Przeczekaasz w pokoiku.

BOLESŁAW.

Jeśli się pani obawia, to ja dla towarzystwa pani z całą rozkoszą.

HELENA.

O, nie, serdecznie panu dziękuję; wolę sama.

STEFAN.

Słuchaj, Bolek, względem ciebie ja naprawdę zawiniłem. Nie gniewaj się na mnie. Rozumiem, że to jest niegrzecznie z mojej strony tak wypraszać gościa i przyjaciela...

BOLESŁAW.

E, kiedy ty się tak po filistersku tłumaczysz, że aż przykro słuchać. Człowiek niepodległy powiada: wynoście się, bo mi w tej chwili przeskadzacie... i kwita! (*udaje oburzonego*).

STEFAN.

Ale wróćisz, Bolek?

BOLESŁAW.

W każdym razie nie wcześniej, jak o dziesiątej... a nawet... co mi daj Boże, na... Elektoratnej... o dwunastej... a może wcale... (*uśmiecha się lubieżnie*) Sfinksie... imię twoje: kobieta... (*żegna się*) Memento mori (*wychodzi*).

STEFAN.

A wracaj (*po odejściu Bolesława*). To głupio się złożyło, ale trudno... (*Chwila*). Zresztą ja nawet kontent jestem, że się tak stało... Tak! Niech jeszcze dziś nastąpi porozumienie się między mną a stryjem.

HELENA.

Ach! Więc to stryj ma przyjść do ciebie?

STEFAN.

Tak, stryj.

HELENA.

Pisałeś do niego list?

STEFAN.

Właściwie list był tylko dodatkiem. Posłałem mu portret.

HELENA.

Jaki portret?

STEFAN (*zażenowany*)

Tego... wiesz...

HELENA (zadrżała)

Ach!

STEFAN.

Z początku ja stryjowi odmówilem... dosyć nawet brutalnie. Trzeba więc było to naprawić. Zapakowałem przed waszem przyjściem płócienko i posłałem przez chłopaka—oto cała sprawa.

*(Wpada chłopak).*

CHŁOPAK (już we drzwiach krzyczy)

Pszpana... przyjechał! *(wybiega).*

STEFAN.

Dobrze *(kręci się)*. Weź, Hela, wszystkie swoje rzeczy do pokoiku... Ja stryja przeproszę, że oczekuję kolegów. *(Helena wychodzi, zamykając drzwi za sobą. Stefan oczekuje. Przypomina mu się nagle zastawa z kieliszkami. Podbiega do stolika z zamiarem uprzątnięcia, ale kroki już słychać; we drzwiach staje Wielohradzki).*

WIELOHRADZKI.

Bon jour!

STEFAN (jak rażony)

Pan tutaj?

WIELOHRADZKI (zdziwiony).

Oburzenie pańskie jest nową dla mnie niespodzianką. Pierwszą było przesłanie portretu, wprawdzie nieco z licencyą poetycką... niemniej

jednak z wielkim artyzmem wykończonego. Ten czyn pański, o ile należało wnosić, wykluczał wszelką możliwość nieporozumienia.

STEFAN

(nabiera pewności siebie, jednocześnie sili się na spokojny ton mowy).

Przesłałem portret nie pod pańskim adresem, lecz pod adresem stryja. Następnie w liście, który szanowny pan zapewne czytał, zazaczyłem wyraźnie, że jest to dar z mojej strony dla stryja, a nie wykończenie obstalunku dla pana. Jeżeli wreszcie przypomnę panu moje zachowanie się względem niego, podczas łaskawej jego bytności u mnie przed dwoma tygodniami, to nieprzyjemne zdziwienie, jakim przywitałem szanownego pana, stanie się dla niego zupełnie zrozumiałem. Spodziewałem się ujrzeć stryja mojego, a nie pana.

WIELOHRADZKI.

Stryj pański jest... chory, przeto występuję tutaj w jego imieniu, jako najbliższy jego przyjaciel...

STEFAN (zasmucony)

Stryj chory?

WIELOHRADZKI.

Tak.

STEFAN.

Przyczyny?

WIELOHRADZKI.

Nie chcę panu robić przykrości wyłuszcza-



niem powodów i przyczyn. Domyślność pańska dostatecznie powinna pana... zranić.

STEFAN.

Czy życiu stryja grozi niebezpieczeństwo?

WIELOHRADZKI.

Tak źle, o ile wnoszę, nie jest. Niebezpieczeństwo da się łatwo usunąć, jeżeli pan w myśl słów swojego listu zechce złożyć dowody przywiązania, należnego opiekunowi i wychowawcy od...

STEFAN

(podrażniony gryzącym tonem Wielohradzkiego)

Ja dla stryja żywię bardzo przyjazne uczucia.

WIELOHRADZKI.

O, stryj ani na chwilę nie wątpił o tem. Teraz jednak przesyła przez moje usta gorącą prośbę—żądać nie chce—gorącą „prośbę“ do szanownego pana.

STEFAN.

Słucham.

WIELOHRADZKI.

O ile słyszeliśmy, obraz pański ma być w tych dniach przedstawiony komisji.

STEFAN (przerywa)

To jeszcze pewnem nie jest.

WIELOHRADZKI.

Dla łatwych do zrozumienia powodów, stryj pański gorąco prosi szanownego pana, aby obraz nie był wystawiony.

STEFAN (jak rażony)

Aby... obraz nie był wystawiony?

WIELOHRADZKI.

Tak... Oczywiście, pana to dotyka bardzo boleśnie. Ale trudno, są nieraz okoliczności życiowe takie, że kwestye artystyczne muszą abdykować na rzecz materyalnych, lub naodwrot.

STEFAN.

Nie... nie... nie! To być nie może!... Ja w ten obraz włożyłem tyle pracy, tyle zapału, tyle wiary... ja nie mogę abdykować... nie!

WIELOHRADZKI.

Może by pan zgodził się abdykować z innych postanowień?

STEFAN

(domyśla się o co chodzi; czelność Wielohradzkiego oburza go do potęgi)

Jakto?... Czy pan rozważył swoje słowa??!!

WIELOHRADZKI.

O, szanowny panie, proszę się o mnie nie troskać: mam to we zwyczaju. Względem siebie postępuję bardzo... nie życzliwie, albowiem narażam się na kilka krewkich niegrzeczności, które...

o ile wnoszę z pańskiego wyrazu twarzy... natychmiast spadną na moją głowę. Proszę zatem: zachciej się pan wypowiedzieć, a ja spełnię następnie swoje posłannictwo, nietyłe zaszczytne i szlachetne, ile... uczciwe. A więc... w pańskim guście... (*uśmiech*) Proszę...

STEFAN (*przygryza wargi*)

Ja... słucham!

WIELOHRADZKI.

Eh bien! Proszę pana, chodzi tu, ma się rozumieć, o pańskie postanowienie co do panny Wojniczówny.

STEFAN

(*niemal porwał się ku Wielohradzkiemu*).

Pan śmie mówić ze mną o niej?! Pan?

WIELOHRADZKI (*spokojnie*)

Tak. Ja mam zaszczyt znać „ją“ tak dobrze, że uważam sobie wprost za obowiązek uczciwego człowieka udzielić szanownemu panu wiarogodnych, co do „niej“, wiadomości.

STEFAN.

Panu nie wolno sądzić jej, zwłaszcza panu! Pan się naraża zbyt niebezpiecznie, występując przeciwko niej, która całą przeżyłą hańbę panu... zawdzięcza! Staram się hamować moje oburzenie, więc powiem tylko, że to jest... nieszlachetne, niegodne!

WIELOHRADZKI.

Szanowny panie. Istnieje przecież pewna kasta kobiet, co do których pojęcia szlachetności, poczucia obowiązku, honoru nawet etc... winny być stosowane w pewnej tylko, przez nas nakreślonej i uznanej mierze. Do takich kobiet, niestety...

STEFAN (gwałtownie, rozkazująco)

Zabraniam panu mówić w ten sposób o kobiecie, którą... kocham! (*Chwila*). Pobudki pańskiego wystąpienia rysują mi się jasno: pan pałasz żądzą zadrwienia sobie ze mnie, zmiażdżenia mnie, złamania moich zamiarów i planów. Ale nic z tego! To ja mógłbym pana zmiażdżyć i moralnie wypoliczkować, gdybym zechciał płacić panu pięknem za nadobne. Broń nie w pańskim, ale w mojem posiadaniu.

WIELOHRADZKI.

Pańska elokwencya zaczyna mnie zaciękać.

STEFAN.

Nie chcę jednak panu płacić równą miarką: wolę oszczędzić i panu, i sobie przykrości moralnych.

WIELOHRADZKI.

Wspaniałomyślność pańska jest również śmieszną, jak zbyteczną. Czy pan zaniecha swego zamiaru, czy nie—jest to rzeczą dla mnie zupełnie obojętną.



STEFAN.

Więc dla pana spotkanie się z „nią“ byłoby obojętne, zupełnie obojętne?

WIELOHRADZKI.

Obojętną jest mi większość rzeczy na świecie. Ale widok ładnej kobiety, z którą łączą mnie bardzo miłe i sympatyczne wspomnienia, zaliczę do pozostałej mniejszości.

STEFAN (poruszony do żywego)

Ha, ha, ha... pański cynizm dochodzi do zaparcia się wszelkiego poczucia ambicji i godności ludzkiej... Pan żąda, aby ona chowała o panu wspomnienie jaknajmilsze! Jakie to bezgranicznie wstrętne... jakie ohydne!!.. Ale, na szczęście, cała ohyda po pańskiej stronie. Jej dusza niema nic wspólnego z pańską... Błoto, którem ją pan tak wspaniałomyślnie obrzucał, nie obryzgało jej... ona dziś jest ponownie czystą... i pogardza panem... nienawidzi pana... jak... nienawidzi tego brudu, do którego ją pan usiłowałeś przyzwyczaić!

WIELOHRADZKI

(na to dictum wybucha ironicznym głośnym śmiechem)

STEFAN (drży cały z uniesienia)

Nie wierzysz pan moim zapewnieniom. Pragniesz usłyszeć to samo z jej ust. Ona jest tam (*wskazuje na pokój sąsiedni*) ja zażadam od niej, aby... panu powtórzyła to. Przykra to będzie dla

niej niespodzianka, ale mój spokój moralny wymaga tego!.. (*Chwilę wyczekuje, czy Wielohradzki nie zaprotestuje przeciwko temu. Ten stoi, bawiąc się brelokiem*).

STEFAN.

Zatem pan nie cofasz się przed usłyszeniem tego?

WIELOHRADZKI.

Nigdy przed nikim nie uciekam, albowiem nic nikomu nie jestem winien.

STEFAN (*idzie nerwowo do drzwi*)

Proszę, proszę... wejdź, Hela! (*otwiera drzwi*)  
Twoja obecność tutaj jest bardzo pożądana.

HELENA (*wchodzi drżąc, niemal przerażona*)

STEFAN.

Ten pan radby się od ciebie dowiedzieć, co czujesz względem niego. Proszę cię, nie oszczędzaj go... mów szczerze. Wszelkie konsekwencje z zadowoleniem wezmę na siebie.

HELENA (*chwytą Stefana za rękę*)

Stefan! Co robisz?

STEFAN (*zapala się*)

Mów... mów... co czujesz dla tego pana... mów, proszę cię! (*Chwila. Helena, trzymając się ręki Stefana, patrzy dziwnie na Wielohradzkiego,*

który zgubił swój stały ironiczny uśmieszek, natomiast z grymasem lubieżności na ustach nęci ją ku sobie. Ona puszcza rękę Stefana. Zamierza się silnym, ostrym rzutem oczów na Wielohradzkiego, ale wzrok mięknie).

HELENA

(zdobywa się tylko na bolesną wymówkę)

Panie Jerzy... po co pan tutaj przyszedł?!

WIELOHRADZKI (ochłonał. Czuje, że wygrywa)

Zaiste, musiałem nieco zmylić drogę, skoro mnie takie przywitanie spotyka (*uśmiecha się trochę smętnie, trochę lubieżnie*). Ale... pardon, nie przyszedłem tutaj dla wynurzeń: raczej dla wysłuchania... wyroku! (*Pochyla głowę*).

STEFAN

(reaguje na lekceważący ton Wielohradzkiego)

Tak... tak, ten pan cię prosi... słyszałaś?... prosi cię o to: bądź szczerą... mów!

HELENA (bezsilnie, zarazem prosząco)

Co?!

STEFAN (tryumfująco)

Mów otwarcie, nie wahaj się!..

HELENA (błaga go)

Stefan.. ja nie umiem, ty nie żądaj tego odemnie.

STEFAN.

Jeżeli ty nic nie powiesz, ja będę zmuszony tego pana (*robi krok naprzód*).

HELENA (powstrzymuje go)

Nie... nie!

STEFAN (ostro)

Więc ty mów! (*Chwila*) Czemu nie mówisz?!  
Hela! (*chwila*) Nic.. nic! (*nieomal z rozpaczą*) He-  
la.! (*Ona stoi, jak martwa. Stefan przerażony  
patrzy na nią. Wielohradzki, zadowolony z wy-  
granej, zaczyna się kręcić. Chwilę jeszcze wycze-  
kuje, poczem spogląda na zegarek.*)

WIELOHRADZKI.

Och! Spóźniam się! (*kłania się, wychodzi.  
Chwila ciężkiego milczenia.*)

STEFAN (sili się na spokój)

Czemuś ty mu nic nie powiedziała?

HELENA.

Nie mogłam, Stefa, nie mogłam. Nie męcz  
mnie pytaniem! (*niecierpliwie*) Po coś ty mi kazał  
wychodzić... po co?! Ja jego nie chcę widzieć...  
nigdy... nigdy! Ja chcę o nim zapomnieć!

STEFAN.

Ja przecież sądziłem, że ty jego...

HELENA.

Ja ciebie podziwiam i uwielbiam za twoją  
szlachetność.



STEFAN.

Ty mnie tylko podziwiasz.. i nic więcej?!

HELENA (prosząco)

Nie mogę ci dać czystego uczucia... Z czasem, kiedy ono odrodzi się we mnie, ja ciebie pokocham... Ale dziś...

STEFAN (rozdrażniony)

A, to są czcze słowa...

HELENA.

Nie pamiętasz, Stefa, naszej rozmowy w ubiegłym tygodniu... o zmroku... kiedy byłeś pełen zapału... taki szlachetny... i taki inny, zupełnie inny od nich, od tych wszystkich?.. Czy to także były słowa, czcze słowa? (*Chwila*) Stefan!? Czemu ty teraz milczysz?!

STEFAN (tłómaczy się)

Ja chyba mam prawo żądać, abys ty mnie...

HELENA (z bolesną szczerością)

Bezwątpienia, ty masz najzupełniejsze prawo żądać; jesteś młody, pełen sił i zapału, i taki zacyjny, taki prawy! Ty znajdziesz taką, która cię pokocha. O, kobiety przywiązują się łatwo. Cemuś ty mnie nie powiedział otwarcie, czego żadasz odemnie?

STEFAN.

Ja nieprzypuszczałem... ja nieprzypuszczałem.

HELENA (smutnie pochylając głowę)

To było do przewidzenia, że to się tak skończy. Błagam cię... niech się to tak spokojnie i cicho urwie w tem miejscu, jak spokojnie i cicho się zaczęło... Trudno. Aniś ty temu nie winien, ani ja, że on wiecznie staje na mojej drodze, i że pomimo wszystkiego, jeszcze robi na mnie wrażenie... *(ostatnie słowa, które w przystępie szczerości wyrwały się niebacznie Helenie, ranią Stefana).*

STEFAN.

Kochasz go?

HELENA (błagalnie)

Gdybyś ty wiedział, jak ja go pragnę... nie nawidzieć... jak ja pragnę nie słyszeć o nim, nie wiedzieć! *(spostrzega na twarzy Stefana sarkastyczny uśmiezek).* Ty mi nie wierzysz?...

STEFAN.

Wierzę temu, com usłyszał, i temu, czego byłem świadkiem... to mi wystarcza.

HELENA.

Więc wolałbyś, abym przed tobą... skłamała?

STEFAN (rozdrażniony)

Ja nie chcę nikogo krępować... niczego nie żądam... każdy powinien postępować tak, jak mu nakazuje serce...

HELENA (boleśnie)

Tak! *(wychodzi na lewo po ubranie)*.

STEFAN.

Ma się rozumieć: odejdiesz odemnie?! Pójdiesz za popędem serca—słusznie... bardzo słusznie... ja nie mam prawa protestować

HELENA

*(z wyrzutem pełnym bólu i zarazem współczucia)*

Stefan, jesteś... niesprawiedliwym; wiesz przecież, że nie robiłam tego z wyrachowania... Ja się tak bałam tego małżeństwa, bo przeczuwałam, że się to niedobrze skończy. Marzyłam, aby przy tobie zostać tak blisko, serdecznie, jak przy przyjacielu... Ale cóż... to były tylko mrzonki... *(odchodzi w głąb)*.

STEFAN *(wzburzony)*

Hela... zostań... zostań...

HELENA.

Nie... nie... Stefan, ja nie powinnam z tego korzystać... *(chwila)*.

STEFAN

*(patrzy na nią pożądliwie, nagle, innym, niż poprzedni tonem, mówi):*

Hela... jaka ty jesteś ładna! Ty musisz zostać... musisz! Ja cię nie puszcze! *(chwytając ją za rękę)*.

HELENA.

Stefa... Stefa! Ty... ty.. tak mówisz??

STEFAN.

Tak. Ja! Ja! Bo ja ciebie pragnę... ja ciebie muszę mieć... muszę!! (*wyczuwa jej kształty*). Ty jesteś taka pełna rozkoszy! Zostań ze mną... zostań...

HELENA (*zdziwiona*)

Stefa! (*Chwila. On wciąż patrzy na nią pożądliwie. Ona gotowa jest przyjąć jego propozycję. Twarz jej nabiera wyrazu zadowolenia*).

STEFAN (*prosząco*)

Hela!...

HELENA (*obsuwa się w jego ramiona*)

Stefa!! (*długi namiętny pocałunek*).

STEFAN.

Ty jesteś taka pełna rozkoszy... bajecznej rozkoszy... Ty musisz zostać ze mną! (*znów pocałunki*).

HELENA (*broni się lekko*)

Stefa... Stefa!..

STEFAN (*namiętnie*)

Więc zostaniesz... zostaniesz... co? co?

CHŁOPAK (*wpada*)

STEFAN.

List?



CHŁOPAK.

Do pani.

HELENA.

Do mnie?

CHŁOPAK (oddaje list i odchodzi)

Tak.

STEFAN.

Od kogo, Hela... od kogo?

HELENA (zmienia się na twarzy)

To.. nic... nic...

STEFAN.

Nie chcesz powiedzieć?

HELENA.

Ja... muszę odejść (*jest pod ogromnym wrażeniem. Chwila*).

STEFAN (wybuchając gwałtownym śmiechem)

Ha, ha!... to od niego... Co? Od niego. No, mów! mów!

HELENA (zdawkowo)

Stefa...

STEFAN (rozdrażniony)

Idź... idź.. czemu jeszcze stoisz?... idź! On tam czeka! Idź!...

HELENA

(patrzy smutnie na Stefana i wychodzi)

STEFAN

(rozdrażniony, kiedy odeszła, jakby się obudził)

Heła!!.. Poszła... Aaa! (*jest zmęczony. Podchodzi do obrazu, odslania go, patrzy gniewnie na podobiznę Heleny i mówi z sarkazmem*): Poszła!... (*po chwili*) Niech idzie... niech nie wraca!!

WOJNICZEK (wchodzi z Bohdanem)

Anioł pański, mistrzuniu...

BOHDAN.

Powinszuj nam, Stefek, udało się kokosowo!

WOJNICZEK.

Daj Boże tak dalej...

STEFAN.

To dobrze... trzeba lampę zapalić...

WOJNICZEK (wstrzymuje go)

Czekajcie... czekajcie... niech będzie zmroczek... na chwilę... zagram wam tę piosenkę, którą na waszą intencję ułożyłem wczoraj wieczorem: pierwszy promyczek natchnienia po tylu latach... mój Boże, ile ja już lat nie komponowałem!.. Dopiero wczoraj, dzięki tobie, panie Stefanie... (*wziął skrzypki, stroi*).

STEFAN (z boleścią)

Nie... nie... panie Wojniczek... ja miałem dobre chęci... ja chciałem... ale ona...

WOJNICZEK (już rozumie)

...ona?... Aha... Nie ma jej już tutaj? Nie wróci?!

STEFAN.

Tak.

WOJNICZEK

(stroił skrzypce, przekręcił czopek—struna pękła).

STEFAN.

Co to?

WOJNICZEK.

Nie dała się nastroić... Rozpędziłem się... trzeba wrócić!!.. Mistrzuniowie, pozwólcie mi... na drogę... na przypomnienie małej akordzik... Jeden akordzik tylko... (*bierze kieliszek, pije*) Na bis, jeszcze jeden... (*pije drugi*). A teraz, w podróż artystyczną... (*bierze cylinder, przygniata go trochę, przekręca niedbale krawat, włosy rozrzuca i zamierza odejść. Skrzypceczkę umieszcza pod pachą. Spogląda na stół, jeszcze jeden kieliszek nie wypity. Waha się, ale bierze go do ręki*). Na żądanie publiczności jeszcze jeden, ostatni (*pije*). Rozegrałem się.. jakoś pójdzie... (*spogląda na Bohdana i Stefana*). Nie litujcie się nademną.. będą inni, co się ulitują... (*pokazuje, jak się liczy*)

*pieniądze, klania się po swojemu, po dawnemu).  
Żegnajcie, mistrzuniowie, najwyższe cis wdzięcz-  
ności za ten promyczek natchnienia, i za... kro-  
pelkę pociechy... (odchodzi ku drzwiom).*

Kurtyna spada.

KONIEC.

*Praków 17/9 914  
J. J. J. J. J.*





**Zastrzega się prawo własności wobec scen.**

---

---

Pisana w roku 1901.

Odznaczona na konkursie lwowskim w r. 1904.

Wystawiona po raz pierwszy w Warszawie w dniu 11 lutego 1905 r.

## OMYŁKI W DRUKU.

|                                                                  |     |    |        |          | <i>zamiast:</i> | <i>winno być:</i> |
|------------------------------------------------------------------|-----|----|--------|----------|-----------------|-------------------|
| Str.                                                             | 34, | 8  | wiersz | od góry: | opłaci się      | warto             |
| "                                                                | 40, | 13 | "      | " "      | posiedzeń       | pozowań           |
| "                                                                | "   | 20 | "      | " "      | posiedzeniu     | pozowaniu         |
| "                                                                | 64, | 7  | "      | " "      | swojej          | mojej             |
| "                                                                | 81, | 13 | "      | " "      | weźmijmy        | weźmy             |
| "                                                                | 89, | 3  | "      | od dołu: | amorosi         | amorosae          |
| "                                                                | 91, | 4  | "      | od góry: | przyjdzie       | wypadnie          |
| "                                                                | 92, | 11 | "      | " "      | rozkoszne       | rozkosze          |
|                                                                  |     |    |        |          | dreszcze,       | doczesne          |
| strona 103, wiersz 6 od góry: <i>zamiast:</i> i wyjednać w sobie |     |    |        |          |                 |                   |
| przebaczenie, <i>winno być:</i> i wyjednać przebaczenie.         |     |    |        |          |                 |                   |









Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000289527



I 441087